

HENRYK SALZ

GLUPIE SERCE



LWÓW
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”
SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA
NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

GLUPIE SERCE.

HENRYK SALZ.

GŁUPIE SERCE

NOWELE

WSZELKIE PRAWA A W SZCZEGÓLNOŚCI PRAWO PRZEKŁADU
ZASTRZEGA SOBIE AUTOR.



LWÓW
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”
SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA
NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

TEGOSAMEGO AUTORA WYSZŁY:

- „BŁĘDNYMI SZLAKI“. Poezye I. Lwów, Księgarnia Polska, 1903.
 „KRZYK NIEWOLNIKA“. Poezye II. Kraków, D. E. Friedlein i Sk. 1903.
 „KWIAT BAGNA — STYPA“. Szkic powieściowy, Stanisławów, Staudacher i Sk. 1905. Wyd. II.
 „POWROTNA FALA“. Poezye III. Tamże, 1905, Wyd. II.
 „MOCARZE“. Poezye IV. Tamże 1911.
 „DZIEDZICTWO“. Dramat. Lwów, Księg. Polska.
 „RODZINA“. Dramat. (w druku).
 „CZAR ZAPOMNIANY“. Utwór powieściowy. (w druku).

PRZEKŁADY.

- M. GORKIJ „WAREŃKA OLESSÓWNA“. Stanisławów Staudacher i Sk.
 M. GORKIJ „W WIEZIENIU“. Złoczów, Biblioteka Powsz.
 FR. HEBBEL „MARYA MAGDALENA“. Tragedya mieszczańska w 3. aktach, tamże.
 B. KELLERMANN „YESTER i LI“. Powieść. Lwów, Księg. Akademicka i 1919.
 FR. HEBBEL „GYGES i JEGO PIERŚCIEN“. Tragedya w 5 aktach. (W przygotowaniu).



SIELANKA.

W lesie szalała wichura. Konary drzew gięły się z trzaskiem i łomotem, strząsając z siebie rozmokłe płaty śniegu, które wiatr w lot porywał i unosił. Jęki i zgrzyty niosły się po lesie, którym co chwila wstrząsał jakby dreszcz gwałtowny. Czasami wszystko przycichało. A wówczas słychać było tylko szum deszczu, który ściekał po gałęziach.

Pod lasem od czasu do czasu migotało światelko, które znikalo, gdy wiatr się uciszał.

Ewa Chomiak jeszcze nie spała.

Płachtą starego płótna przysłoniła okno, ale silne podmuchy wichru co chwila płachtę podrywały w górę, a wtedy światelko przez otwarte okno, pozbawione szyb, wybiegało trwożnie w roztrzęsiony las i przepadało w mroku.

Ręce jej kostniały ze zimna, ale powzięła sobie dziś jeszcze koszulinę skończyć, bo szła niedziela, a mały Oleś nie miał w czem wyjść do kościoła.

Opodal siedziała matka, pokurczona, bezzębna staruszka, i zwiędłemi wargami mamrotała bezustannie pacierze. Szept jej brzmiał monotonnie, jak krople deszczu spadające na papierową papę, rozpiętą nad izbą zamiast dachu. Oczy jej z pod siwych rzęs nieruchomo tkwiły w rozhuśtanej płachcie, jak gdyby szukały niewidzialnej ręki, która nią targała.

„Jutro już chyba w lesie będziemy nocowali“ — westchnęła Ewa. Istotnie cała izdebka, buda zbita z kilku starych desek, bokiem jednym do szkarpu przytulona, zdawała się rozlatywać pod naporem wiatru.

Oleś przez sen zapłakał, jak ptak przestraszony.

„Śpij, śpij, dziecińco“ — szepnęła stara i pochyliła się nad kupą łachmanów, w której leżał zagrzebany.

K-168/76/71735

Nagle zrobiło się zupełnie ciemno. Wiatr zerwał płachtę z okna, poniósł ją na stół i zdmuchnął lampkę.

Ewka zakląła gniewnie. Chwyciła płachtę i podeszła ku oknu, aby je znów przysłonić. W tem cofnęła się z okrzykiem przestachu i kurczowo chwyciła matkę za rękę.

Staruszka zadrżała przerażona.

„Coś tam za oknem stoi“ — wyjąkała Ewka.

Justyna przeżegnała się.

„Wszelki duch Pana Boga chwali“!

W izbie rozległo się tępe stuknięcie, jak gdyby ktoś bosą stopą uderzył o ziemię. W tej samej chwili usłyszały od strony okna szczęk żelaza.

„Jezus Marya“! — wrzasnęła Ewka i twarzą rzuciła się na ławę.

„Cicho, baby! Nie róbcie mi tu krzyku“! — ozwał się obcy, niski głos. „Nie widzieliście człowieka“?

„To człowiek“! — trąciła stara córkę. „Mówi ludzką mową“.

„To pewnie ten zbój z lasu“! — wykrztusiła Ewka.

„O jej, o jej, ostatnia nasza godzina“!

Tymczasem obcy zapalił zapałkę, poszedł do stołu i zaświecił lampę. Potem cisnął Ewce płachtę i zawołał:

„Zaraz mi to okno zasłoń“!

Obie podniosły głowę i ujrzały żołnierza z karabinem na ramieniu. Munduru nie podobna było rozpoznać, bo cały był pokryty błotem i śniegiem.

Nie wiele je ten widok uspokoił. Bo dziki wygląd żołnierza, jego twarz o szerokich, wystających kościach policzkowych i szybko od kąta do kąta latające oczy utwierdziły je w przekonaniu, że mają przed sobą owego zbiega wojskowego, który od szeregu miesięcy nagabywał ludność i był już przedmiotem najokropniejszych legend.

Ewka próbowała się podnieść, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wówczas przybysz sam płachtę na oknie zawiesił, potem powrócił i usiadł na ławie.

Teraz dopiero Ewką przypatrzyła mu się bliżej.

Był to człowiek około lat czterdziestu, o płowych włosach, niskim czole, gęstych, zrosniętych brwiach, z pod których siwe oczy rzucały krótkie, kłujące spojrzenia. Oczy te, małe, osadzone w szerokiej twarzy, o wężkim

nosie i cienkich, zwartych ustach, nadawały mu wyraz drapieżnego zwierza. Potworność wyglądu potęgowały szerokie barki, prostokątnie spadające, jak u niezgrabnie ciosanej, drewnianej figury. Spodnie miał obwiązane u dołu sznurkami, a stopy tkwiły w zdartych, rozświechtanych trzewikach, wypchanych słomą i szmatami.

Zrozumiała, po co przyszedł, i trwoga zaczęła ustępować uczuciu litości. Nie czekając na wyjaśnienie ze strony niezwykle gościa, wyjęła ze skrzynki pół bochenka chleba i położyła przed nim.

Oczy żołnierza błysnęły na ten widok. Zdjął karabin i postawił go w kącie. Trąc dłonie i chuchając w palce, rozgrzał sobie ręce, potem odłamał kawał chleba i chciwie zajadał.

Kobiety patrzyły nań w milczeniu.

Na dworze huczał wiatr i jęczał. Tłukł się po drzewach, skrzypiał, zgrzytał, wilgotną masą uderzał w ściany izby, wciskając się ze świstem we wszystkie szczeliny. Dach wzdymał się i falował jak żagiel.

Ewka podeszła do pieca, palcami rozgarnęła popiół i rozdmuchała dogasający ogień. Następnie rzuciła na ognisko garść gałązek i patyków, które zaczęły się palić, z traskiem syjąc iskry.

Justyna zwróciła oczy ku palenisku i znowu zaczęła mamrotać pacierze, kiwając ustawicznie głową, jak gdyby błogosławiła ogień. Gdy się gałązki już dopalały, Ewa nabrała z kosza kilka ziemniaków i położyła na ogień.

Nadzieja cieplej strawy przebiegła uśmiechem po twarzy obcego.

Nagle zerwał się i stanął wyprostowany. Przestał gryźć kęs chleba, który trzymał w ustach. Wyciągnął szyję, jak żóraw stojący na straży i nadłuchiwał...

Kobiety ogarnął niepokój. Mimowoli wyteżyły słuch, ale prócz zawodzeń wiatru i poszumu lasu żadnego głosu nie mogły rozróżnić.

Tymczasem żołnierz szybko postąpił ku oknu. Pochwyciwszy lewą ręką karabin, prawą odgarnął zasłone i ostrożnie wychylił głowę.

W tej chwili dały się słyszeć dalekie kroki.

Nieznajomy jednym skokiem znalazł się na dworze.

Ewka wzruszyła ramionami i, kierując się niejasnym instynktem, pospiesznie uprzątnęła stół i zabrała się na nowo do szycia.

Stąpienie stało się głośniejsze. Ktoś chrząknął, przystanął na chwilę, potem ukradkiem zaglądnął przez okno, zapukał szybko do drzwi i, nie czekając na odpowiedź, otworzył je w tej samej chwili.

Wszedł żandarm i rozejrzał się po izbie.

„Niech będzie pochwalony“.

„Na wieki wieków“.

„Czy nie był tu przed chwilą?“

Stara potakująco potrząsnęła głową, lecz zanim otworzyła usta, odparła Ewka:

„Nikogo nie było“.

Lęk niewytlómaczony ostrzegł ją przed wyjawieniem prawdy.

„Gdym nadchodził, ktoś uciekł stąd do lasu“.

„I mnie się tak zdawało, ale nie widziałam“.

„Dla kogo pieką się te kartofle?“

„A no, jeśli łaska, to i dla Was“!

Nie rozbrojony tą gościnnością, badał żandarm dalej, zwracając się do Justyny:

„Wyście już, mamusiu, po wieczerzy?“

Justyna uśmiechnęła się zakłopotana i rzekła wymijająco:

„Taka to u nas wieczerza“...

„Przemarzyśmy na nice“ — wtrąciła Ewa — ale i Wam pewnie nieskoro w taką szargę po służbie chodzić. To się i zgrzejcie“.

To mówiąc, wyciągnęła ziemniaki z ogniska, zdmuchnęła z nich popiół i położyła je na stół. Potem podała trochę soli.

Izba była bez podłogi, i świeże, wilgotne ślady wielkich męskich stóp nie uszły bacznego oka stróża bezpieczeństwa. Ale doświadczony żandarm sądził, że tym razem łatwiej dojdzie prawdy, nie zdradzając podejrzania. Wziął kartofle, złamał ją, posypał solą i jadł. Przez dłuższy czas rozmyślnie milczał. Spodziewał się, że zdradzą się same przedmiotem rozmowy, którą rozpoczyna.

„Za kim to szukacie u nas“? zagadnęła Justyna po chwili.

Tego już było mu za wiele. „Dezterter był dziś u Was“! — uderzył w stół pięścią.

„Nie było u nas nikogo...“ — rzekła Ewa, blednąc.

Żandarm zerwał się i stanął przed nią z podniesioną pięścią.

„Nie kłam! Bo z tobą będzie źle! Rozumiesz? — wołał groźnie.“

Ewa opanowała lęk i powtórzyła:

„Nie było tu nikogo“.

„A te ślady czyje? Te ślady nóg? He? Zobaczymy“!

Poszedł z pasyą.

Kobiety zapłakały obie...

* * *

W kilka dni później, gdy w lesie było jeszcze ciemniej, żołnierz znowu wszedł do izby.

Zastał wewnątrz żydówkę i cofnął się trwożnie.

„Nie uciekajcie“! — zawołała za nim. — „Przecież Was znam. Wyście przedwczoraj nocowali u mnie“.

Otworzył usta w dziwny uśmiech, wszedł i usiadł.

Żydówką zagadnęła:

„Czemu się tak męczycie? Nie lepiej to służyć? Dadzą Wam ciepłą strawę. Dadzą Wam, co ubrać“.

Milczał chwilę posepnie, potem rzekł z westchnieniem:

„Ha, trudno... Tak już padło“...

„Po co się tak męczyć? Nie może Wam być nigdzie gorzej“.

Zamyślił się znowu, potem z jakimś tłumionym gniewem zaczął opowiadać w urywanych zdaniach:

„Kamraci mnie spili. Spotkali mnie — była niedziela. Chodź, mówią. Dokąd? Chodź na wódkę, mówią. Takeśmy poszli. Piliśmy noc i dzień i noc. Wychodzę — głowa jedzie jak karuzel. Nadchodzi z mojej kompanii Józek, mój przyjaciel. Janek — woła — na Boga, co się z tobą dzieje! Co jest, powiadam. Ciebie już szukają. Dezterter! Kulka w łeb cię czeka! — Nastraszył mię do licha. Co tu

robić? — pytam. Albo się zgłoś, albo do lasu, zmykaj, ile możesz! Tak mu zabrałem karabin — i do lasu“!

„Co może z tego być dobrego“? — wtrąciła żydówka.

„A co ma robić“? — Ewa zawołała gniewnie.

„Pójdzie, da się zastrzelić jak sobaka“?

„Nie zastrzelą“ — odparła z przekonaniem. Potem dodała tajemniczo: „Ja Wam pomogę. Ja Wam przyniosę świadectwo od wójta, że Wy jesteście głupi na rozumie. To Was wypuszczą“...

Oczy zabłyśły mu nadzieją. Chwycił żydówkę za rękę i ucałował ją z pokorną wdzięcznością.

Ewa spojrzała na nią z podziwem. Tylko stara siedziała w kącie i kiwała głową.

Żołnierz milczał i dumał. Po chwili skrzywił kwaśno usta i rzekł:

„Nie chodźcie do wójta. To nic nie pomoże“.

„Dlaczego“? — broniła żydówka swego zdania. —

„Co Wam zrobią? Nazywają Was zbójem. Wszyscy Was się boją. I ja także się bałam, gdyście u mnie byli. Przez całą noc nie spałam. A Wyście przecież nie zrobili nikomu nic złego. Narębaliście mi drzewa, zapalili w piecu“.

„Mnie kulka w łeb. Gadania szkoda“, — powtarzał z niewzruszonym fatalizmem.

W tej chwili zerwał się i wypadł drzwiami. Równocześnie rozchyliła się w oknie zasłona i błysła w świetle żandarmaska pikelhauba.

Kobiety spojrzały po sobie przerażone. Siedziały skulone, ciche i słuchały...

Gonili się dokoła domu. Słysząc była co chwila szybki tupot kroków, to z tej to z tamtej strony — potem cisza, straszliwa, przyczajona — i znowu tupot kroków, szybki, trwożny. Czasem słysząc było uderzenia w ścianę: ktoś skradał się wązkiem przejściem między domkiem a szkarpem.

„Stój, bo strzelam“! — zakrzyknął żandarm.

„I ja mam karabin“ — odpowiedział zdyszany głos żołnierza.

Cisza — gonitwa — huk wystrzału.

Dziecko zapłakało trwożnie. Ewa i Justyna przeżegnały się. Żydówka wykrzywiła twarz z przestachu.

Janek, trafiony w nogę, wciąż uciekał. Noga bolała, słabła, biegł ostatkiem siły. Na rogu stanął, śledząc bacznie obie strony.

„Rzuć karabin“! — krzyknął żandarm.

„Chodź, weź go sobie“ — odparł Janek.

Był jak ścigane, ranne zwierzę. Wszystko mu było jedno. Nie myślał o niczem, tylko bronić chciał się do ostatka. Złożył karabin do strzału, stał i czekał. Znow długa chwila ciszy, pełnej grozy.

Nagle gruchnęły dwa strzały równocześnie.

Dwa ciała z głuchym łoskotem upadły na ziemię.

Ewa wybiegła za próg izby. Po chwili weszła z mrocznym smutkiem w oczach.

„Nie żyją obaj“.

Żydówka, kiwając głową, załamała rękę.

Stara bezdźwięcznym szeptem mówiła pacierze.

OSTATNIA ROZMOWA.

Inżynier, Jan Lutyński, siedział w swym nowo urządzonej gabinecie, w głębokim fotelu klubowym, z wonnym cygarem w ustach — i czekał.

Była godzina zmierzchu, dziwnie cicha, sprzyjająca rozmyślaniom.

Ożyły cienie wspomnień, snuły się po kątach... Budziły się w ciszy echa, odgłosy przeszłości...

Był jeszcze młodym technikiem, kiedy ją poznał.

Zapałali ku sobie tem uczuciem płomiennem i głębokiem, wobec którego lata rozłąki są bezsilne.

Była córką niższego urzędnika, który ani przyszłości zabezpieczyć jej nie mógł, ani nie przygotował jej do tego, by mogła w życiu stać o własnych siłach.

Lutyński sam był ubogim chłopcem. Musiał jeszcze kilka lat pracować celem ukończenia studyów. Na utrzymanie swoje zarabiał udzielaniem lekcji.

O związku małżeńskim wśród takich warunków nie mogło być mowy. Lecz nieopatrzna krewkość serc młodych nie baczyła na to. Ludwisia uczyła się matką...

Zmierzch był w pokoju jak dziś i taka sama cisza, gdy mu z tłumionem łkaniem przypadła do kolan, błagając o radę, o ratunek...

Nie mógł jej wtedy pomóc, nie mógł pomóc... Może za mało ufał swoim siłom? Był młody, niedoświadczony, nieporadny.

Rodzice wygnali ją z domu. Znikła mu z oczu, przepadła bez wieści... Usilną pracą zdobył sobie stanowisko. Nie przestał o niej myśleć, nie przestał kochać. Szukał jej po całym kraju, jeździł, pytał — nikt o niej nie słyszał, nikt jej nie znał...

Wczoraj ujrzał ją nagle na rogu ulicy — pod latarnią! Stał, jak rażony gromem. Nie wierzył swym oczom. Poznała go zaraz. Oczy jej dziwnie zabłysły... Nie odwróciła twarzy, nie uciekła. Patrzyła mu w oczy dumnie i wyzywająco.

„Na kogo tu czekasz“? — rzucił jej ostre pytanie.

„Na kogoś, kto weźmie mię ze sobą“ — odparła spokojnie, z uśmiechem.

„Przyjdź do mnie jutro przed wieczorem“ — rzekł i oddalił się, nie czekając odpowiedzi.

Wiedział, że przyjdzie. Wszak po to pewnie przyjechała.

Całą noc spędził bezsennie. Chodził po pokoju tam i z powrotem niespokojnym krokiem, lub siedział we fotelu i palił cygara, rozmyślając nad jej nieszczęsnym losem. Przez cały dzień nie wychodził z domu. Był złamany. Bił się z myślami. Szukał wyjścia z rozpaczliwego położenia. Już dawniej miewał złe przecucia. Wyobrażał ją sobie w skrajnym niedostatku, wyobrażał ją sobie służącą, wyrobnicą, czasem sądził ją umarłą, lecz nigdy nie przedstawiał jej sobie w takim pohąbieniu, w jakim mu ją ukazała rzeczywistość. Na wszystko byłby się zgodził, o wszystkim zapomniał. Gotów był rzucić zasłonę niepamięci na każde poniżenie, na jakie skazuje młodą kobietę głęboka niedola. Byłby ją pojął za żonę, wziął dziecko do siebie...

Teraz wszystko stracone, bezpowrotnie. Teraz pozostawało tylko jedno: wyrwać ją z tej gehenny, dać jej środki do życia i wysłać w świat, na zawsze.

...Drzwi lekko zaskrzypiały. Weszła i stanęła przy drzwiach.

„Jestem“.

„Siadaj. Chcę z tobą kilka słów pomówić“.

Siadła naprzeciw w milczeniu.

W pokoju był półmrok. Skąpe światło latarni wpadało z ulicy. Umyslnie lampy nie świecił. Nie chciał poraz drugi widzieć jej twarzy zniszczonej, powleczonej szminką, tej twarzy, która mu ongi była cudem życia — brwi pocernionych — i ust zwiedłych pod karminem, ust, które niegdyś z tak niewysłowioną rozkoszą całował...

„Poco tu przyjechałaś“? — spytał, gryząc wargi.

„Wiedziałam, że tu jesteś“.

„Czego chcesz ode mnie“?

„Chcę oddychać powietrzem, którym ty oddychasz. Przecież się kochamy, prawda? Chcę cię widzieć. Chcę wiedzieć, jak żyjesz, co robisz... I chcę, byś ty mnie także widział i wiedział, co ja czynię, jak ja żyję...“

Spostrzegł w mroku nienawistny błysk jej oczu.

„Gdzie dziecko“? — spytał.

„Zabiłam je“ — rzekła. — „Trzy lata byłam we więzieniu. Nie wiedziałeś o tem“?

„Nie, nie wiedziałem“ — odparł trupio blady. —

„Teraz przyszłaś mścić się na mnie“?

Milczała, uśmiechając się złośliwie.

„Słuchaj Ludko“ — rzekł miękko, ze wzruszeniem. —

„Spotkało cię wielkie nieszczęście. Największe, jakie kobietę spotkać może. Wiem, widzę to i czuję. Głęboko współczuję. Ty wiesz, jak ja cię kochałem... Szukałem cię wszędzie. Zawsze o tem marzyłem, by wziąć cię za żonę...“

Wybuchła spazmatycznym śmiechem.

„Nie śmiej się. Dobrze wiesz, że mówię szczerze. Los nam nie sprzyjał. Los cię prześladował. Teraz ja muszę sny me o tobie pogrzebać. A razem z nimi moje sny o szczęściu“.

Kąty ust drżały mu bolesnym drganiem.

Ludka znów wybuchła śmiechem.

Krew uderzyła mu do głowy. Zrywając się z miejsca, krzyknął:

„Przestań śmiać się! Nie masz zgoła czem się cieszyć“!

„Och, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, słysząc twoje piękne słowa“.

„Chcesz sztydzić? To ci sprawia ulgę? Ha, trudno. Szydz. To prawo nieszczęśliwych. Lecz tym sposobem nie dojdziemy do końca“.

„Owszem. Dziś jeszcze mnie zabijesz“ — rzekła to z takim chłodem i pewnością, że Lutyński zdrzął niepojętym lękiem. Mówiąc, patrzyła mu z mocą prosto w oczy. Potem skierowała wzrok na leżący na biórku nóż indyjski o niezwykle rzeźbionej, węzami zdobnej rękojeści, którego używał do rozcinania papieru.

Poszedł mimowoli za jej wzrokiem. Oczy węża za-
błyły zielone, jak żywe.

„Nie pojmuję tego“ — szepnął.

„Zabiłam dziecko, owoc wspólnej winy; dlaczego ja tylko miałam się zbrodnią upodlić? Zaznaj i ty, co znaczy zabić kochaną istotę! Wejdz w moje piekło męki i spoldlenia“! — Odpędzając te straszne myśli, przerwał:

„Nie będziesz odtąd żyła w upodleniu! Nie mogłem ci wtedy pomóc. Nie moja w tem wina. A jeśli zawiniłem, srodze jestem ukarany! Teraz zaś mogę i pragnę ci pomóc... Zabezpieczę ci rentę dożywotnią, lecz musisz stąd wyjechać i zmienić tryb życia“.

„Dziękuję za wspaniałomyślność. Jest trochę spóźniona... Nie potrzebuję twej pomocy. Cóż to, czy nie jestem ładna“?

Tu zaświeciła lampę i spojrzała na niego z urągliwą zalotnością.

„A co do trybu życia — ha, żyję wesoło... Niektó-
rym się to nie podoba, ale mnie z tem bardzo dobrze“.

W jaskrawem świetle elektrycznej lampy ujrzał, z przestraszeniem niemal, jej twarz cyniczną i rozpustną, oczy zaczerwienione od nieprzespanych nocy, patrzące z dziką nienawiścią, i usta wykrzywione zjadliwym uśmiechem. Wstręt i gniew dreszczem zbiegły mu po ciele.

Więc to, to jest kobieta, którą kocha? I on sam to z niej uczynił? Z tej dobrej, czystej? On, który ją kochał tak głęboko? O, gdyby ją był raczej zabił!

Opanował się i powtórzył w tonie prośby:

„Zważ, co czynisz. Przecież to życie musi być wstrętne! Długo w tej ohydzie nie wytrzymasz. Uczyni, o co cię proszę. To przecież mój obowiązek, a nie łaska“.

Błagalnie złożył ręce.

„Za nic na świecie“!

„Więc żyj, jak chcesz, lecz opuść najrychlej to miasto“!

„Ha-ha-ha! Tęskno mi będzie za tobą“! — zawołała z urąganiem i z tryumfującym uśmiechem spojrzała na nóż połyskujący w świetle, jakby badała ostrze.

„Słuchaj — zawołał rozpaczliwie — nie mogę patrzeć na twoje straszne pohańbienie! Zrozumiesz przecież, jaką mi mękę sprawia ta świadomość“...

„O to ci chodzi“ — rzekła niby z głupia. — „Nie jest ci przyjemnie, że każdy może mię dziś kupić... za kilka koron... mnie, twoje marzenie!“ I śmiejąc się dziko, prawie nieprzytomnie zrobiła ruch, jakby zamierzała powstać i odejść.

Lutyński pochwycił leżący przed nim nóż indyjski i szybkim ruchem wbił go jej w pierś aż po rzeźbioną, zdobną węzami rękojęść.

OCZY.



Adam, Rolski był młodym lekarzem chorób nerwowych, cenionym dla swych niepospolitych zalet umysłu i charakteru. W najbardziej zawikłanych wypadkach, po krótkiej obserwacji, trafnie rozpoznawał rodzaj cierpienia i przez umiejętne leczenie, prostymi bardzo środkami, osiągał znakomite wyniki.

Był to człowiek cichy i zamknięty w sobie, o spokojnym wyrazie twarzy i niebieskich oczach, które patrzyły zawsze jakby w skupionem zamyśleniu. Oczy te posiadać musiały wielką siłę suggestywną i niepoślednią odgrywały rolę w jego metodzie leczenia.

Powaga jego oblicza, o regularnych, niemal klasycznych rysach; umiarkowane, jakby powstrzymywane ruchy i przyciszony głos, którego nie podnosił nawet wówczas, gdy mówił wśród gwaru i hałasu, miały w sobie coś nakazującego i potęgowały jego dar przekonywania.

Zdawałoby się, że ten człowiek nie doznał nigdy wewnętrznych rozterek, że myśl jego szła zawsze prostą ścieżką ku celowi. Trudno było przypuścić, że pod tą maską spokoju przewalało się całe morze ludzkich cierpień, kłębiły się i zwalczały tysiączne zwątpienia i że były chwile, w których te oczy, nakazujące skołatany duszom spokój i równowagę, same patrzyły z obłądną trwogą...

Jako student uchodził za dziwaka, stronił bowiem od kolegów, spędzając całe dni i wieczory na nauce, samotnych przechadzkach i rozmyślaniach. Pomimo burzliwych czasów trzymał się zdala od wszelkich prądów społecznych i politycznych, nie interesowały go wypadki, które powszechną wywoływały sensację. Gdy go z tego

powodu spotykały czasem wymówki, odpowiadał zwykle: „Nie obchodzi mnie masa, tylko człowiek“.

Ale i człowiek nie obchodził go ze swojemi codziennymi troskami o byt materialny i z tymi tysiącnymi stosunkami i związkami, w które życie go wprowadza. Życie miało dla niego jedno tylko zagadnienie: śledzić i poznawać duszę w jej najtajniejszych przejawach, wydobywać na jaw jej ukryte siły i te siły opanowywać.

Gdy wojna wybuchła, znikł z horyzontu. Nie słyszano o nim przez parę lat. Przed kilku miesiącami powrócił i rozpoczął znowu praktykę lekarską. Ci, którzy go bliżej znali, zauważyli w jego usposobieniu widoczną zmianę. Otoczył się bowiem przyjaciółmi, z którymi dawniej obcował tylko z konieczności i w towarzystwie ich spędzał każdą wolną chwilę. Niegdyś samotnik, czuł się teraz najlepiej w gronie znajomych osób, które przy każdej sposobności prosił, by go odwiedzały. Z wyteżoną uwagą słuchał obecnie ich opowiadań, choćby tyczyły najbliższych przedmiotów.

Znajomi jego ze zadowoleniem powitali tę zmianę. Ale doktor Beralski, który znał go najlepiej, przyjmował to z dziwnym niedowierzaniem, „Nie podoba mi się czegoś Adam“ — rzekł raz do towarzyszy.

„Jakieś niezwykle rzeczy muszą się dziać w jego duszy. Jakkolwiek nie wątpię o jego szczerzej życzliwości, zdaje mi się, że on nie z przyjaźni tak usilnie do siebie nas zaprasza. Mam wrażenie, że w towarzystwie naszym szuka ucieczki od siebie... Czy nie zauważyliście, jak on o sobie uporczywie milczy?... Z naszego życia zna już każdy szczegół; ale co się z nim przez tych pięć lat działo, odkąd opuścił nasze miasto, o tem nie wspomniał jeszcze ani słowem“.

„Musimy mu raz rozwiązać język“ — odparł profesor Bury.

„Mam już nawet sposób na to: Tylko wtedy, gdy mowa jest o niezwykłych stanach umysłowych, staje się on rozmownym i otwartym. A zatem“.

Gdy w kilka dni później zeszli się znowu w mieszkaniu Rolskiego, towarzysze jego rozpoczęli rozmowę o rozmaitych objawach zбоceń nerwowych, wywołanych

grozą wojny. Rolski nie pozostał w tyle i przytoczył kilka ciekawych wypadków z obfitego zasobu swych doświadczeń. Jeden z tych wypadków opowiadał z niekłamanem wzruszeniem, które zdradzało, że z chorym musiał pozostać w bliższej styczności. Zapytany o to, zamilkł i popadł w pęsepné zamyślenie.

Wówczas Beralski przerwał milczenie:

„Czy nie sądzicie Panowie, że najlepsze doświadczenia czynimy na sobie? Syty nie rozumie głodnego a zdrowy chorego. I śmiem twierdzić, że my wszyscy, którzy z takim niezwykłym zainteresowaniem śledzimy duszę na manowcach jej zбоceń i zaglądamy jej z największą uwagą w twarz wówczas, gdy się jej rysy z bólu skrzywią, szukamy tam własnej zagadki, z niepokojem przyzywamy wizję zmory, która jest wizją naszego jutra — — —“.

„A poco“?

„Aby ją z bliska poznać i z nią walczyć“.

„Lub choćby tylko oswoić się z jej straszliwym obliczem“...

Po tych słowach Beralskiego osunął się Rolski głęboko w swój fotel i przymknął oczy. Twarz mu drgała, a w kątach ust zarysowała się zmarszczka cierpienia.

„Trąciliśmy przykrą strunę — rzekł Bury, łagodząc słowa rozmyślnie pogodnym tonem — i wywołaliśmy może niemile wspomnienia“...

„Najlepszym sposobem, by ich się pozbyć, jest: nie odpędzać od siebie takich wspomnień, skoro się uporczywie narzucają... Nawet najboleśniejszym doznaniom można stępić ostrze, gdy się je w gronie przyjaciół opowie“.

„Nie bierzcie mi za złe, — odparł Rolski — że z osobistemi doznaniem zamykam się w sobie... To nie jest skrytość, ani duma, ale — czy uwierzycie? — wstyd“...

„Chyba wstydlivość“?

„Powiadam: wstyd“.

„Zbyt dobrze cię znamy i dlatego nie możemy uwierzyć, abyś się swoich czynków musiał wstydzić“.

„A jednak tak jest. Dla uniknięcia nieporozumień muszę mówić jaśniej.“

Niechętnie wracam do przeszłości, bo w nią właści-

wie jako w przeszłość nie wierzę. Ona jest w nas ustawicznie, w zmienionej jedynie formie, która do swojej pierwotnej postaci pozostaje w takim np. stosunku, jak woń do kwiatu... Ale i w tym lotnym swoim objawie leży ona utajona poniżej progu świadomości, skąd jej nie lubię wywoływać. Rozpamiętywanie bowiem przeszłości ma dla mnie zawsze coś upokarzającego. Widzę szereg zdarzeń, których punktem środkowym ja jestem, a które przecież nie wydają mi się moimi czynami. Opowiadając je, muszę używać pierwszej osoby: „byłem tu i tam“, „zrobiłem tak lub owak“ — a jednak mówiąc w ten sposób, mam wyraźnie uczucie kłamstwa. Wbrew najlepszej pamięci nie odczuwam tych czynów jako własnych. Widzę tylko łańcuch faktów, nie powiązanych ze sobą logiką wewnętrzną konieczności, jakby oderwanych od podmiotu. A tylko w nielicznych wypadkach czuję ciepły prąd, przez moją krew przepływający, jakieś ogólne zaniepokojenie, podniecenie — nastrój tego, co minęło... W tych tylko przypadkach mam to poczucie, że wspominam czyn swój własny, akt mojego organizmu, który jeszcze na wspomnienie reaguje“.

„Ale co w tem wszystkim jest upokarzającego?“

„Oto w przeważającej ilości faktów nie jesteśmy sobą. Pozwalamy, aby się coś stawało, co ma uchodzić za nasz czyn i za co przyjmujemy osobistą odpowiedzialność, choć nasza wola nie miała w tem udziału. Jesteśmy wykonawcami obcych nakazów, zechceń, rad, nie na nasze życzenie nam udzielonych. Jesteśmy naśladowcami obcych uczynków, których wcale nie zamierzaliśmy, narzędziem działającym pod przymusem stosunków, nie przez nas stworzonych“.

„Wywody bezsprzecznie bardzo trafne. Zyskałyby jednak wiele na sile przekonywującej, gdyby poparte były konkretnym przykładem“ — zauważył Beralski, zmierzając wciąż do jednego celu.

Ta osobista ciekawość kolegi nie uszła uwagi Rolskiego. Uśmiechnął się pobłaźliwie i postanowił uleść.

„A więc dobrze“ — rzekł z namysłem.

W krótkiej przerwie, w której zbierał myśli, napełnił kieliszki swych towarzyszy i poczęstował ich papiero-

sami. Potem wygodnie oparł się oboma łokciami o poręcz fotelu i, pochyliwszy nieco na bok głowę, począł opowiadać:

„W czerwcu 1914 roku otrzymałem zaproszenie do hrabiego Dobosza, którego syn zapadł był na chorobę nerwową i żadnym sposobem nie chciał się zgodzić na wyjazd do zakładu leczniczego.

Byłem podówczas bardzo wyczerpany pracą. Uśmiechał mi się wypoczynek po kilkuletniej absorbującej praktyce. Nęciło mnie wytchnienie w ogrodach starego zamku. Przyjąłem zaproszenie bez namysłu.

Hr. Dobosz był już podówczas złamanym starcem. Paraliż obu nóg od szeregu lat przykuwał go do fotelu, z którym się nie rozstawał. Był wdowcem, a dwudziestoletni hr. Stefan, którego miałem leczyć, był jedynym jego dzieckiem i przyszłym dziedzicem rozległych dóbr majoratu.

Rozpoznanie jego choroby nie przedstawiało trudności, pomimo, iż była nieco skomplikowana. Chłopak był dziedzicznie obciążony. Cierpiał na epilepsyę w lekkim stopniu i na szczególną manię prześladowczą. Zdawało mu się, że jakaś para oczu ustawicznie na niego patrzy i ściga go, dokądkolwiek się zwróci, za dnia i wśród nocy. Oczy te widział dokładnie, opisywał ich wygląd i ich barwę. Pod tym ostatnim względem atoli nie był konsekwentny. Czasem określał te oczy jako zielone, czasem jako jasno-niebieskie, najczęściej jednak wyrażał się, że mają zmienny kolor morskiej wody. Z pod magicznej władzy tych oczu nie umiał się wyrwać. Wywierały na niego tajemny wpływ, który go przygnębiał i niepokoił. Oczy te miały mieć wyraz smutny, a wzrok ich jednostajnie nateżony, zdawał się przenikać go nawskróś i poprzez jego osobę wybiegać w przestrzeń, jakgdyby poza jego plecyma czegoś wypatrywały.

Młody hrabia unikał towarzystwa. Był milczący i zadumany. Najchętniej spędzał cały dzień w swoim pokoju. Z krótką fajeczką w ustach, siedział wtulony w kątek kanapy, z jednym kolanem założonym na drugie, i spoglądał na snujące się leniwie sine smugi dymu. Przy obiedzie i kolacyi nie odzywał się wcale. Na zadane pytania

odpowiadał jednozgłoskowo lub samem tylko skinieniem głowy.

O początkach swojej choroby mówić nie chciał. Gdy go spytałem, czy owe oczy widział kiedy w rzeczywistości, odpowiedział: „One są“.

W pewnych godzinach zamykał się w swej pracowni malarskiej i nikogo nie wpuszczał. Utrzymywał, że maluje. Prac swoich atoli z ostatnich czasów nikomu nie pokazywał. W rzeczach dawniejszych, porozwieszanych na ścianach, przeważały studia głów kobiecych. Wszystkie odznaczały się podłużną linią twarzy, wysokiem uduchowieniem wyrazu i niezwykłą wyrazistością spojrzenia. Starałem się opowiadaniem różnych rzeczy, które zazwyczaj rozbudzają ciekawość takich młodych umysłów, z jednej strony zaprzętnąć mu myśli jakimkolwiek innym przedmiotem, z drugiej strony stwierdzić, jaka dziedziną zjawisk go interesuje. Ale pierwsze moje usiłowania nie osiągały zamierzonego skutku. Hr. Stefan tak był zawsze wewnętrznie skupiony, tak miał wszystkie władze umysłu zogniskowane na jednym przedmiocie, że zaledwie uchem samem, i to niechętnem, słuchał moich monologów. Słowa moje były dla niego pustym dźwiękiem, który zupełnie nie wnikał do jego niewzruszonej istoty.

Od pierwszej chwili podejrywałem, że główną rolę odgrywa tu kobieta o demonicznych oczach, które z taką niezwykłą siłą wryły mu się w pamięć. Dyskrecya powstrzymywała mnie od indagacyi w tym kierunku. Spodziewałem się, że wkrótce sam do tego dojdę. W tym celu musiałem użyć małego podstępu.

Pewnej nocy, gdy hr. Stefan pogrążony był w najgłębszym śnie, wyjąłem mu z kieszeni klucz do szafy, w której przechowywał swoje najnowsze rysunki i szkice. Wszedłem do pokoju, jak złodziej, z latarką elektryczną, gdyż okna nie były zasłonięte. Po otwarciu szafy przedstawił mi się niezwykły widok. Z porozrzucanych na półkach i poustawianych pionowo kartonów i płócien spojrzęły na mnie równocześnie setki oczu, dużych, otwartych, niebiesko-zielonych, o długich, ciemnych rzęsach a spojrzeniu tak silnem i przenikającym, że poraz pierwszy w życiu odczułem dziwny jakiś niepokój zbliżony do

trwogi. W samym środku umieszczony był portret głowy kobiecej naturalnej wielkości, o matowo-popielatych włosach i niezwykle szlachetnej linii owalnej twarzy, jakby owianej nalotem złotego pyłu. Miała wysoko sklepione łuki brwi, niby w nieustannem zdziwieniu a pod niemi, w okoleniu długich ciemnych rzęs, oczy o nieokreślonym, wciąż zmieniającym się niby kolorze morskiej toni... Z tej twarzy bił nieziemski urok, a siła pociągająca oczu tak była niepospolita, że stanąłem jakby ich wzrokiem przykuty do miejsca, niezdolny głowy odwrócić od tego niezwykłego zjawiska. Usta miała wąskie, lekko rozchylone, niby do cichego szeptu... Gdy musnąłem je światłem latarki, miałem wrażenie, że drgnęły życiem i przemówią... Zdjął mnie niewytłómaczony lęk, ręka mi zdrzała, a latarka upadła na dywan i zgasła... Zapanowała zupełna ciemność — a ja mimo to zostałem na miejscu i wciąż jeszcze patrzyłem na portret, który pomimo ciemności równie dokładnie, jak przedtem, w i d z i a ł e m... Z trwożnym pośpiechem, jak człowiek lękający się pościgu, zamknąłem napowrót szafę i wymknąłem się na palcach. Długo nie mogłem zasnąć. Portret dziewczęcy nie schodził mi z oczu. Jakgdyby zaklęta w nim była jakaś magiczna siła, kuśił i niepokoił zarazem.

Nazajutrz w rozmowie ze starym hrabią wyraziłem się z uznaniem o talencie malarskim hr. Stefana i starałem się dowiedzieć, kto służył mu za model do owych głów dziewczęcych, przedstawiających się jak waryacya jednego i tego samego motywu.

Hrabia smutno potrząsnął głową i odparł po chwili milczenia:

„Spodziewałem się tego pytania. Jest Pan na dobrej drodze do rozpoznania choroby mego syna“.

Po dłuższem wahaniu wtajemniczył mnie w niektóre szczegóły, które hr. Stefan tak uporczywie przedemną zatajał.

Chorobie młodego malarza było na imię: Roma Głębecka. Ona to była właścicielką tej głowy i tych oczu, które z takim niesłabnącym zachwytem malował i które swym nieprzepartym urokiem przesłoniły mu z czasem cały świat.

Hr. Dobosz nie wiedział, czy syna jego łączył z nią bliższy stosunek. Wiedział tylko, że Stefan znalazł w niej wcielony ideał doskonałego piękna kobiecego i niewyczerpane źródło natchnienia. Przez kilka miesięcy bawiła we dworze i pozowała mu do portretu. Mimo wielkiego zapału, z jaką się hr. Stefan do tej pracy przykładał, nie osiągał zadowalającego wyniku. Nie umiał, jak mówił, pochwycić tajemnicy jej oczu, ich zmieniającej się wciąż barwy, ich wyrazu i dziwnie przykuwającej siły. Całymi tygodniami studyował tę zagadkę, wymyślał coraz to inne mieszaniny farb, na setkach kartonów i płócien rysował i malował wciąż tylko te oczy... Motyw ten tak go z czasem całkowicie opanował, że czynił wrażenie opętanego jakimś chorobliwym majakiem. Zaniepokojony tem zachowaniem się syna, hr. Dobosz, bez jego wiedzy, skłonił pannę Romę do wyjazdu. Od tego czasu hr. Stefan zamknął się w sobie na siedm spustów. Stał się głuchym i obojętnym dla otoczenia i nieprzystępnym dla wszelkich zewnętrznych zjawisk.

Było rzeczą jasną, że nagła rozłaka w zgubny sposób musiała wpłynąć na delikatne zdrowie hr. Stefana, nawet jeśli uczucia jego dla niej były czysto intelektualne.

Przedstawiłem te swoje obawy hrabiemu i odrazu trafiłem mu do przekonania. Postanowił, dla poratowania zdrowia syna, zaprosić ją ponownie i bezzwłocznie w mojej obecności, napisał telegram z prośbą o natychmiastowy przyjazd. Obliczyliśmy, że panna Roma za trzy dni powinna przyjechać.

Miałem zamiar hr. Stefana tymczasem powoli i ostrożnie na to przygotować, ale hr. Dobosz wyprzedził mnie w sposób najfatalniejszy.

Oto zaraz po wysłaniu telegramu, bez porozumienia się ze mną, wezwał do siebie syna i prosto z mosta oświadczył mu, że Roma za trzy dni wróci.

Hr. Stefan, usłyszawszy te słowa, otworzył usta, lecz zanim zdolał wymówić słowo odpowiedzi, padł trupem na miejscu“.

Nagle poruszenie przeszło po słuchaczach.

„Jakto?... To niepojęte...“ — zawołali.

„Jak sobie Kolega to tłumaczy“ ?

„Nagłą radością. Rzecz prosta“ — odparł Rolski.

„Być może... Zapewne“...

„A teraz słuchajcie dalej.

Było to w trzy dni później, nazajutrz po pogrzebie hr. Stefana. W niedzielę. Pamiętam, jak gdyby to było wczoraj. Siedzieliśmy dziwnie długo przy obiedzie. Byliśmy obaj podnieceni. Zapewne winem. Nie przypominam sobie gatunku, ale było to wino stare, mocne, a wypilem go stanowczo coś ponad zwyczajną miarę.

Hr. Dobosz, z ukrytą myślą o zmarłym synie, skierował rozmowę na magnetyzm i inne siły tajemnej duszy ludzkiej. Wiecie, że z zamiłowaniem studyowałem tę dziedzinę wiedzy i że potrafię się do tego przedmiotu, jak to mówią, zapalić. Więc i wówczas puściłem swemu konikowi wodze. A konik pohulał sobie i poniósł mię dalej, niżli chciałem. Ani się spostrzegłem, jak zaczęliśmy mówić o suggestywnej mocy oczu pewnych osób a w dalszym ciągu o Romie. Co kilka minut spoglądaliśmy na zegarek. Spodziewaliśmy się obaj jej przyjazdu. Nie jest wykluczone, że ta ukryta nadzieja przyczyniła się w pewnej mierze do mego stanu podniecenia. Jakkolwiek bowiem jeszcze jej osobiście nie znałem, Roma już wówczas nie była mi całkiem obojętną. Przypominam sobie, że spoglądając na martwą twarz hr. Stefana, nie mogłem opędzić się myśli, że zabiły go oczy Romy i że sam wstąpiłem w zakłętą krąg ich niepojętej władzy.

Nie ulega wątpliwości, że oczekiwanie jej przybycia było powodem, dla którego tak długo zostałem przy stole a niepokój oczekiwania sprawił, że przekroczyłem miarę w użyciu trunków.

Ostatecznie zacząłem odczuwać zawroty głowy i mdłości.

Zadecydowaliśmy, że pociąg dawno już przyjechał i że dalsze wyczekiwanie jest bezcelowe. Stary udał się na drzemkę, a ja poszedłem do ogrodu dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Usiadłem w cienistej altanie i mimowoli zasnąłem.

Gdy otworzyłem oczy, było już ciemno.

Mimo długiego wypoczynku byłem jeszcze zmęczony i ociężały. Próbowałem powstać, ale nogi odmawiały mi

posłuszeństwa. Pozostałem tedy na miejscu. Wieczór był prześliczny. Kwiaty woniały silnie. Od łąki zalatywał zapach świeżo skoszonego siana. W dalekich stawach rzechotały żaby. Lekki, ciepły powiew poruszał gałęzie. Księżyc wypłynął z poza obłoków i wrzynał się srebrnymi smugami w mrok ogrodu.

Pograżylem się w nieokreślonej zadumie. Był to raczej stan uczuciowy, nastrój, niż rozmyślanie. Nie myślałem bowiem o żadnej konkretnej rzeczy, o żadnej osobie.

Nagle żaby umilkły, powiew wiatru ustał. Zapanała cisza tak głęboka, jak gdyby ziemia stanęła w swym biegu i wszystko co żyje, wstrzymało oddech. Owładnęło mną dziwne uczucie, iż otacza mnie inna, niż zwykle, atmosfera... Czułem bliskość czegoś, co napawało mnie oszałamiającą rozkoszą i zarazem lękiem.

Jak błyskawica przyszło zrozumienie: Czułem na sobie wzrok Romy!

Nie uwierzycie, jak wysoce niepokojąca była dla mnie ta świadomość!

Nie wiedziałem, skąd, z której strony ten wzrok mnie dosięga. Zdawało mi się owszem, że oczy jej patrzą na mnie zewsząd. W którąkolwiek zwracałem się stronę, wzrok mój spotykał się z ich spojrzeniem. Byłem niby ogniskiem, skupiającem na sobie niezliczone promienie tysiącznych a przecież tych samych oczu.

Ogarnęła mnie chęć ucieczki. Ale czułem się obezwładniony jakąś niepojętą siłą.

Zamknąłem oczy i długo trzymałem powieki przymknięte. A jednak uczucie, że oczy Romy uporczywie na mnie patrzą, nie opuszczało mnie ani na chwilę. W tem usłyszałem delikatny chrzęst żwiru na ścieżce, szept liści lekko rozsuwanych ręką i cichy szelest, jaki zwykły wydawać jedwabne szaty idącej kobiety. Nie wierzyłem swym uszom, lecz oczu nie śmiałem otworzyć! Czekałem ze wzrastającym biciem serca.

Wnet nabrałem pewności, że nie myliłem się wcale. Kobieta była w altanie — dwa kroki odemnie.

Przemogłem się i otworzyłem oczy.

Przedemną stała żywa Roma. Miała na sobie długi

plaszcz podróżny, w ręce parasolkę i torebkę. Twarz zupełnie tasama, co na portrecie.

„Przepraszam — rzekła jasnym, melodyjnym głosem — że przeszkadzam Panu w drzemce“.

Użyłem całego wysiłku woli, by podnieść się z miejsca i wymienić swoje nazwisko.

„Głębecka“ — odparła, wyciągając ku mnie rękę.

Poprosiłem, by spoczęła, gdyż kolana drżały podemną. Usiedliśmy oboje.

„Przed dwoma dniami otrzymałam telegram od pana hrabiogo... Niestety przyjechałam za późno“... — rzekła, patrząc mi w oczy z bolesnym uśmiechem. Pod wpływem jej głosu niepokój mój zaczął ustępować. Było to, jak gdyby jej żywy głos rozpraszał upiorność zjawiska.

„Niestety, zapóźno“... — powtórzyłem. „A jestem przekonany, że obecność Pani byłaby go ocaliła“.

„Jak to się stało? Co tu zaszło?“ — pytała głosem drżącym od tłumionej rozpaczki.

Opowiedziałem jej wszystko najdokładniej.

„Cóż to za fatalna siła leży w moich oczach... już drugi wypadek“ — rzekła jakby do siebie. A po chwili dodała:

„Pan to przecież musi wiedzieć: Czy to możliwe, by oczy miały taką siłę? Nie odzyskałem jeszcze panowania nad sobą i tej okoliczności zapewne przypisać muszę nierozsądną otwartość, z jaką potwierdziłem jej pytanie i tę naiwną szczerłość, z którą w dalszym ciągu zwierzyłem jej, że sam zaczynam wstępować w ślady hr. Stefana.“

W czasie mego przemówienia wyraz jej twarzy zmieniał się ustawicznie. Czasem wyrażał tryumfującą dumę, częściej jednak kobiece współczucie i zdziwienie.

„Proszę nie oddawać się tej sugestyi. Byłoby mi bardzo przykro“ — rzekła miękko a dumnie.

Po tych słowach dopiero poznałem niewłaściwość swego postąpienia.

Uśmiechałem się wymuszenie i, nie wiedząc, jak naprawić błąd popełniony, wbrew własnej woli, ująłem ją za rękę i szepnąłem:

„A gdyby to nie było w mojej mocy?“

Z dobrotliwym uśmiechem, jak gdyby mówiła do dziecka, pochyliła się ku mnie całkiem blisko i prosiła: „Spojrz mi Pan w oczy, spojrz Pan, mocno... Czyż jest w nich coś nadzwyczajnego?”

Nie wiem, czy po wypitem winie nie byłem jeszcze całkiem trzeźwy, czy oszołomił mnie ten dziwny wieczór, czy wreszcie sprawiła to demoniczna siła jej piękna — nie wiem... Ale to pewna, że nagle ująłem jej głowę w obie ręce i całowałem jej usta, twarz i oczy... Nie pamiętam, co się dalej stało, gdyż w tym gwałtownym porywie krwi straciłem pamięć. Gdy odzyskałem świadomość, nie było jej przy mnie. Chciałem pospieszyć na dworzec, by ją zatrzymać, przeprosić. Lecz służba zaalarmowała mnie z powodu nagłego osłabnięcia hrabiego.

Gdy atak szczęśliwie przeszedł, zamierzałem wyjechać, uważając rolę swoją za skończoną.

Uległem jednak prośbom hrabiego Dobosza i zostałem jeszcze tydzień.

W trzy dni później nadszedł od Romy list kondolencyjny.

„Dlatego więc nie przyjechała... Dowiedziała się zaś wczasy o śmierci Stefana“... — rzekł hrabia.

Omów nie zdradziłem, że Roma była. Udało mi się jednak już rozpoczęte zdanie skierować na inny przedmiot. Zrozumiałem, że wolała uniknąć spotkania z ciężko strapionym ojcem i szczegółów śmierci Stefana dowiedzieć się odemnie.

Ostatnie dni, które spędziłem we dworze hr. Dobosza, smutne były i ciężkie. Ponure zawsze zamczysko opustoszało jeszcze bardziej. Żałoba leżała na wszystkich przedmiotach i ciężkiem, kamiennem milczeniem kładła się na duszę.

Między papierami zmarłego hrabiego znaleźliśmy testament, w którym na wypadek przeżycia ojca uniwersalną spadkobierczynią mianował., pannę Romę Głębecką.

Stary hrabia długo nad tym testamentem dumiał. Potem oświadczył, że ostatnia wola syna jest mu drogą i że uzna ją za swoją własną.

Stan jego zdrowia był poważny, i wątpię, czy po upływie tygodnia byłbym go opuścił, gdyby nie wybuch

wojny i powołanie mnie do służby wojskowej. Tak tedy pożegnałem posepny dwór hrabiowski, gdzie zamiast pokrzepienia doznałem tyle smutnych i przygnębiających wzruszeń.

Stary hrabia rozstał się ze mną z ciężkiem sercem. Przywiązał się bowiem do mnie i lękał się samotności wobec nadciągającej zawieruchy wojennej... Widziałem też, że miał przecucie bliskiej śmierci.

Przed odjazdem obdarował mnie po królewsku. Byłbym chętnie wszystko oddał, gdyby mi pozwolił wziąć ze sobą portret Romy. Ale wobec pietyzmu, jakim otaczał wszystkie pamiątki po zmarłym synie, nie śmiałem o to nawet prosić. Miałem być zamiar z chwilą opuszczenia dworu pojechać do Krakowa i odszukać Romę. Ale nagłość powołania i niesłychane trudności komunikacyjne, jakie nastąpiły od pierwszej chwili mobilizacji, uniemożliwiły mi wykonanie tego postanowienia.

Około dwa tygodnie spędziłem w różnych miejscowościach etapowych. Potem odkomenderowano mnie na front, gdzie miałem objąć dowództwo szpitala polowego.

Przed odejściem udało mi się uzyskać krótki urlop i pojechać do Krakowa. Myśl bowiem o Romie nie opuszczała mnie przez cały czas i gnębiła mnie jakąś chorą tęsknotą.

Ale podróż moja była daremną.

Romy w Krakowie nie było.

Wyjechała z chwilą wybuchu wojny, niewiadomo dokąd.

Wróciłem z niczem, bez nadziei, że się z nią jeszcze kiedyś w życiu spotkam. Jakież było me zdziwienie, gdy w lazarecie polnym wśród personalu sanitarnego przedstawiono mi siostrę Agatę.

Już na pierwszy rzut oka to poznałem: Siostra Agata nie była nikim innym, tylko — Romą!

Tasama smukła zgrabna postać, tesame matowopopielate włosy, tensam szlachetny owal twarzy jakby owianej nalotem złotego pyłu, tesame wysoko sklepione łuki brwi, niby w nieustannem zadziwieniu a pod nimi w okoleniu długich ciemnych rzęs tesame oczy o nieokreślonym, wciąż zmieniającym się kolorze morskiej toni...

Nie wątpiłem, że Roma dziwnym sposobem wybadała cel mojej podróży i jeszcze przedemną wstąpiła do lazaretu w charakterze siostry.

Przy przedstawieniu spojrzała na mnie, swoim sposobem, oczyma, które zdają się człowieka nie widzieć, ale patrzeć poprzez niego gdzieś w przestrzeń i podała dłoń tak chłodno i obco, iż nie mogła mi wyraźniej powiedzieć: „Nie zdradzaj mnie“...

Przytem nie odezwała się ani słowem. To utwierdziło mnie w myśli, że i mnie pragnie zobowiązać do milczenia.

Pośpiech, z jakim porzuciła dom i nieomylność w wyborze lazaretu były mi zdumiewającą zagadką. Ale większą jeszcze zagadką była mi pobudka, która ją do tego skłoniła.

Była chwila, kiedy zacząłem powątpiewać o tożsamości osoby i w księgach szpitala śledziłem za dniem jej przybycia. Stwierdziłem, że przyjechała 2 dni przedemną, a to nie uprawniało mnie do żadnych wniosków. Komen-dant, który ją przyjął i który byłby mi mógł udzielić pewnych wyjaśnień, krótko przed moim przyjazdem wyjechał do Serbii, gdzie wszelka wieść o nim zaginęła.

Rozmyślenia moje i dociekania nie dawały żadnego wyniku. Patrzałem w oczy tajemnicy, lecz nie mogłem jej zgłębić. Tak jak nie można wzrokiem zgłębić dna morskiego.

Spodziewałem się, że Agata przy jakiejś sposobności zwierzy mi powody swego postępowania. Ale ona milczała konsekwentnie. Skrupulatnie wykonywała wszystkie zlecenia i z wielką gorliwością i poświęceniem opiekowała się chorymi a na moją osobę zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi.

Niekiedy przychodziło mi na myśl, że Agata rozmyślnie osłania się takim gęstym obłokiem tajemniczości, aby mnie drażnić i pobudzać do ustawicznego myślenia o niej. Muszę przyznać, że jeśli rzeczywiście zamiar taki miała, osiągała go znakomicie. Zagadka bowiem, której na imię było Roma-Agata, coraz głębiej wżerała mi się w umysł, coraz wszechwładniej rozpieierała się w mojej świadomości, przykuwała mnie do siebie na jawie, nie

ustępowała w czasie snu... A że nie wiedziałem o niej nic poza tem, co widziały oczy, przeto nie jawiła się jako oderwana myśl, którą można snuć i rozwijać, lecz stawała przedemną jak żywe widome zjawisko, jak posąg prze-szywający mnie oczyma sfinxa.

Myśl o Agacie nie była myślą, ale plastyczną wizją, którą nosiłem w sobie bez ustanku.

Zwyczajnie jawiła mi się w pozycji siedzącej z wyprostowaną górną częścią ciała i jakby zasłuchanemi w dal oczyma.

Wspomnienie Romy i widzenie Agaty były jednym a przez uporczywe nawiedzanie umysłu przybrały z czasem charakter niepokojącej halucynacyi.

Zdarzało się, że Agata, z którą przed chwilą rozmawiałem, odchodziła, a ja mówiłem do niej dalej, bo przed mojami oczyma wciąż stała.

Zdarzało się, że z największą niecierpliwością czekałem na wykonanie zlecenia, które wydałem nieobecnej...

Spoglądając nieraz wśród zmierzchu zapadającego wieczora na szereg długi rowów strzeleckich, gubiący się hen pod nieboskłonem — spostrzegłem ją, jak zwolna — w powłóczyściej szacie — z wyprostowaną głową, szeroko rozwartemi oczyma wciąż przed siebie patrząc — szła — a raczej niby lotna mgła płynęła — od okopu do okopu — a nad każdym zabitym przyklekała i trwała tak chwilę nieruchoma w jakiejś niemej, głębokiej zadumie nad losem... Gdy w takich chwilach jawiła się przy mnie żywa, napawała mnie lękiem a głos jej wydawał mi się dziwnie dalekim i nierzeczywistym“.

Przyjaciele słuchali Rolskiego z pochylonemi głowami i wzrokiem utkwionym w ziemi, jakby w obawie, by Rolski w oczach ich nie wyczytał niepokoju.

A Rolski zaczerpnąwszy oddechu opowiadał dalej: „Nareszcie dość mi było tych udręczeń.

„Dlaczego tak się nademną znęcasz Romo“? — wybuchnąłem, nie mogąc już dłużej panować nad sobą. Pamiętam, że złożyłem przed nią ręce w błagalny gest, a głos mój drżał prośbą o współczucie.

Cofnęła się przedemną z lękiem. Lecz ja chwyciłem ją za rękę i błagałem usilnie i namiętnie bogdaj o jedno

słowo dobre i serdeczne. Wtedy uśmiechnęła się do mnie, jak dawniej i ręką głaszcząc mnie po włosach, szepnęła:

„Niech się Pan uspokoi... Ja nie wiedziałam, że Pan także cierpi“.

To wyznanie było mi wybawieniem.

Wypowiedziała je tysamym głosem miękkim i szczerym, jak i ongi z ust Romy słyszałem.

Potem dodała:

„Dlaczego Pan mnie nazwał Romą? Ja przecież jestem Agata“...

Zrozumiałem, że chce zapomnieć o wszystkim, co przeszło i zapewniłem ją, że tem imieniem nigdy jej nie nazwę i że o rzeczach minionych nie będę wspominał.

Sądziacie zapewne, że teraz nastały dla mnie dni szczęśliwe, że nadeszły godziny ziszczenia, które przyniosły mi spokój i ukojenie?

Niestety! Było już zapóźno...

Zaglądałem we własne serce i szukałem w niem tego błęgiego uśmiechu, którym wita się długo upragnione szczęście — ale nie znajdowałem w niem ani jednego radosnego drgnienia; tak było zmęczone długim dręczącym czekaniem. Wyczerpało mi duszę owo intensywne marzenie na jawie; jak wampir wyssało z niej wszystkie żywotne siły, całą młodzieńczą świeżość i wrażliwość.

Gotowicie pomyśleć, że moje uczucie nie było dość silne?

Było raczej wręcz przeciwnie. Zbyt wielka była moja tęsknota i nadto głębokie cierpienie. Wybujałość marzenia sprawiła, że spełniająca się rzeczywistość przyszła w takiej szarej szacie, bez wiosennego przepychu barw olśniewających, jak późny owoc, który dziwnym sposobem wyrósł na drzewie ogołoconem już z liści i kwieciami...

Więc kiedy spoczęła w moich ramionach, nie odczuwałem radości ziszczenia.

Nie miałem tego poczucia, tego przekonania, że oto nareszcie mam w objęciach ją, tęsamą, za którą tak długo myśl ma, prawie obłąkana, wybiegała ku dalekim rozstajom rozkopanych pól, tęsamą, którą wzrok mój ścigał daleko i blisko, we śnie i na jawie, niby bezcielesną wizję...

Miłość ma była zatruta tą przebyłą męką, która pozostawiła w sercu cierpko-gorzki osad.

Agata intuicyjnie stan mój wyczuwała i coraz częściej widziałem na jej twarzy ów uśmiech, pełen łagodności i politowania, z którym zwykła była pochylać się ku chorym.

Dużo było w niej dobroci, wiele poświęcenia — a jednak nie potrafiła zdjąć z mego serca tej dziwnej klątwy.

Aż nadszedł czas, w którym zaczęła do mnie odczuwać urazę, wzmagającą się z dniem każdym.

„Ty kochasz we mnie inną?“ — mówiła... — „Nieprawdą?... Ja to wiem od pierwszej chwili... Dlatego tak długo trzymałam się zdala: obawiałam się, że się za-wiedziesz...“

Nie mogłem temu przeczyć. Uczucie jej zbyt było przenikliwe i nie dałoby się zmylić.

I byłem świadkiem, jak jej miłość czysta i szlachetna zaczęła zatruwać się tym jadem, który miałem w sercu, i przemieniać się w nienawiść.

Pamiętam noce, kiedy lękałem się jej oczu, bo posyłały ku mnie jakieś niesamowite błyski i w swej fascynującej zieleni miały w sobie coś upiornego... Powiadam wam, że w oczach tych było niekiedy coś straszliwego, co najodważniejszego człowieka musiałoby napęlić niepokojem... To nie był sam wyraz nienawiści ani groźba knowanej zemsty. Było w nich jakby bolesne zamieranie czegoś, a gdy w nie patrzałem, czułem, że one będą się na mnie mściły tem, że nigdy z pamięci mojej nie ustąpią...

Jednego wieczora zwierzyła mi Agata, że czuje się matką.

Oblicze jej, zazwyczaj smutne, stało się jeszcze bardziej posępne, a oczy straciły zupełnie blask i były jak jeziora odbijające zielone stoki mgłą zasnutę...

Wydawało mi się później dziwnem, dlaczego zwierzenie to nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Nie wiem, czy groza wojny i nieustający widok całej gehenny najstraszliwszych kalectw i cierpień uczyniły mnie nieczułym na losy jednostki nawet tak mi bliskiej, czy też był to objaw niezrozumiałej dla mnie dotychczas obojętności

dla osoby, która tak niedawno jeszcze z mocą zatrważającą panowała nad całą mą istotą...

Tej samej nocy zbłąkany granat uderzył w lazaret. Wielu z naszych ludzi poniosło przy tem śmierć, wielu okaleczało. Lazaret spłonął doszczętnie ze wszystkim, co w nim było. O ratunku nie mogło być mowy, bo nieprzyjaciel podsunął się ku nam i musieliśmy jaknajrychlej cofnąć się na tylne stanowiska.

O tem wszystkim dowiedziałem się później; gdy ogłuszony hukami pękającego granatu, straciłem przytomność i dopiero po dwóch dniach ją odzyskałem. Pierwsze moje pytanie było:

„Gdzie siostra Agata?”

Ale tylko kłopotliwe milczenie otaczających mnie osób było mi odpowiedzią.

„Zabita?” — zawołałem rozpaczliwie.

„Przepadła bez wieści...”

Opowiedziano mi, że przez cały poprzedni dzień i całą noc nie odstępowała mnie ani na chwilę. Widziano ją, jak modliła się przy mojem łożu i jak załamywała ręce w przystępie rozpacz.

Nad ranem poszła i nie wróciła więcej...

Wszelkie moje poszukiwania były daremne...

Jeden tylko żołnierz, który sprawował wówczas straż nocną, utrzymywał, że widział ją, jak tuż przed świtem, owinięta w czarny szal, szła wyprostowana, choć kule padały dość blisko, przez pola wyrw, ku szuwarom, nad brzeg Martwego Stawu...

Podążyłem za jego wskazówką i przekonałem się, że mówił prawdę.

Na stawie, na samym prawie środku, leżał czarny szal Agaty...

Czy wicher zerwał go z jej ramion i poniósł na wodę? Czy ślepą rozpaczą gnana, straciła z oczu brzeg i mimowoli wpadła? Czy rozmyślnie oddała swe młode życie martwym wodom Stawu? Jakże mogłem tego dociec? Nie zostawiła żadnego pisma, żadnego zlecenia. Wszystkie jej rzeczy spłonęły w lazarecie. Jak przyszła tak i odeszła tajemniczo...

Ale posepny smutek, który ostatniego wieczora ponurym cieniem leżał na jej twarzy, i tego smutku wiadome mi przyczyny; jej modlitwy i rozpaczliwe załamania rąk; tajemne opuszczenie lazaretu przed nastaniem świtu — i ten szal, który jak źrenica na zielonej tęczę stawu martwo na mnie patrzył — nie pozwalały mi wątpić o jej śmierci ani o tem, że śmierci tej szukała...

I oto — jakże dziwną jesteś, duszo ludzka! — żal mój po stracie Agaty był nieopisany. Było mi jak gdyby ten Martwy Staw pochłonął całą istotną treść mojego życia i byłem jak zewłok człowieka, co samego siebie przeżył...

Myśl o samobójstwie wracała uporczywie... Pogrążyć się w te ciche wody, w które, na dnie leżąca, twarzą ku niebu zwrócona Agata, zbywszy wszelkiego lęku, spogląda zielonemi oczyma — szeroko — nieruchomo — dniem i nocą — — —

Wyobraźnia moja chorzeć zaczęła na nowo. Gdy przysmykałem powieki, jawiło mi się potworne, zielone oko stawu z wilgotną czarną źrenicą w pośrodku i spoglądało na mnie swem jednostajnym i martwym spojrzeniem. A jednak na żaden krok stanowczy zdobyć się nie mogłem.

Wbrew wszelkim rozumowaniom, wbrew pewności niemal, tała się w głębi duszy iskierka nadziei, że nie straciłem jej na zawsze, że zmęczona smutnemi doznaniami wojny, wypiszy z rąk mych kielich goryczą za truty, odeszła, aby do dawnego wrócić trybu życia.

Agata umarła. Ale Roma żyje!

I cóż wy powiecie, przyjaciele moi, na tę przedziwną moc przeczuwań właściwą miłującym sercom?

Ledwo minęły dwa tygodnie, otrzymałem list od... Romy!

Sama wiadomość, że ona jest jeszcze przy życiu, taką przejęła mnie radością, że oszołomiony nie rozumiałem, co czytam. Każde słowo wołało do mnie: żyję, żyję, żyję!

Wszak otrzymałem pismo od umarłej, list z tamtego świata!

Nie bądźcie tak niespokojni! Nie jestem szalony.

Treść tego listu była zdumiewająca.

Roma donosiła mi, że hr. Dobosz umarł i w testamencie zapisał jej cały swój majątek. Wyznała, że ze śp. Stefanem łączył ją bliższy stosunek. Wyraziła przypuszczenie, że hr. Dobosz musiał o tem wiedzieć i z tego zapewne powodu ustanowił ją swoją dziedziczką. Zapytywała, czy uczucie moje dla niej jest prawdziwe i czy gotów byłbym ją poślubić, mimo iż nosi pod sercem jej o dziecko...

Kochani przyjaciele! Na waszych twarzach maluje się zdziwienie. Możecie więc łatwo wyobrazić sobie, jakie ten list wrażenia musiał wyrzeć na mnie.

Ale z wrażenia tego rychło ochłonałem. Z łatwością bowiem zdołałem odróżnić prawdę od zmyślenia i poznać, że Roma w najlepszej intencji igra sobie ze mną. W najlepszej intencji: bo jej szczerzy zamiar złożenia swych losów w moje ręce nie ulegał wątpliwości. Ale chciała wprzód siłę mego uczucia wystawić na próbę: przekonać się, ażali miłość moja jest wspaniałomyślna i zdolna do wielkich przebaczeń.

Serce moje tak było przepełnione wdzięcznością! Za wszystko. Najwięcej za to, że żyła!

Przystalem na propozycję jej z radością.

Rozstrój nerwowy, w jakim znajdowałem się od czasu owego wybuchu granatu, umożliwił mi uzyskanie urlopu na czas nieograniczony.

Z dziwnem usposobieniem wracałem do starego zamku. Mimo, iż tam poznałem swoją umiłowaną, pożegnałem go był z uczuciem ulgi, jak żegna się miejsca posępne, w których nie zaznało się radości... A oto wracałem, by zamieszkać w nim na nowo, przy boku kochanki, którą sądziłem już umarłą, zamieszkać może na zawsze, jak we własnym?...

Nie mogło mnie przecie spotkać większe szczęście!... A jednak nie było radości w uczuciu, z jakim witałem znowu dumne mury i porozwieszane na ścianach bogate trofea myśliwskie i długimi rzędami ciągnące się portrety przodków i wspaniałe mozaiki posadzek, francuskie gobeliny, meble z hebanu, dzieła snycerskiego kunsztu i olbrzymie kandelabry ze starego brązu... Nie było we mnie

radości, tylko głęboki niepokój, z którego nie umiałem sobie na razie zdać sprawy.

Nawet gdy drzwi bez szelestu się otwarły i ujrzałem ją — idącą ku mnie z wyciągniętą ręką i uśmiechniętą z łagodną uprzejmością — nie zadrgała we mnie radość, lecz doznałem dziwnej trwogi, jakby na widok istotnie zmartwychwstałej... Nie chwyciłem jej w objęcia z okrzykiem szczęścia. Nie wyrzekłem ni jednego słowa, nie zrobiłem ani jednej miny, któraby zdradzić mogła, jak głęboko ją kochałem. Z uszanowaniem, dalekiem od wszelkiej poufałości, ucałowałem jej rękę i usiadłem na wskazanym mi fotelu.

Przypatrzyłem się jej bacznie. Wydała mi się w kształtach nieco bujniejszą: zwłaszcza w biodrach i w biuście pełniejsza była bezsprzecznie niż dawniej. I w twarzy była zmieniona: twarz jej zeszczuplała, rysy jakby zaostrzyły się... Zwyczajne objawy pierwszego okresu macierzyństwa... pomyślałem. Na ustach, lekko rozchylonych, jak na portrecie, błąkał się dziwny uśmiech, którego dawniej nie spostrzegłem, uśmiech nieomal gorzki, subtelnie urągający: ślad cierpienia... Zmieniła też fryzurę, a smuga światła wpływającego z wysokiego okna, padała wprost na jej głowę, nadając jej popielatym włosom zabarwienie jaśniejsze z odcieniem prawie srebrzystym. Ale co mnie zdziwiło, to para kolczyków... Nie nosiła ich w polu, nie mogłem sobie też przypomnieć, czy widziałem je na portrecie...

Przywodząc sobie na pamięć treść jej listu, nie mogłem tego nie zauważyć, że o ile mogła, zmieniła wygląd, aby zataić, iż była już moją jako siostra Agata... Duma kobieca? Ciekawość? Przekora? Kto sądzi, że zna kobietę, niech odpowie!

W owej chwili zawarłem z nią powtórnie milczącą umowę, że o przeszłości nie będę wspominał.

Miłość moja gotowa była do wszelkich ustępstw. Tak wielka jest we mnie wyrozumiałość na ludzkie kaprysy i zachcianki, że choć nie znałem kierujących nią pobudek, miałem szczerzy zamiar zgodzenia się bez zastrzeżeń na wszystkie jej chęci.

Ale tym razem nie było to rzeczą łatwą, rzucić na wszystko minione zasłonę milczenia. Bo, jak wspominałem, przeszłość jest tylko fikcją: Przeżycia, które raz głęboko wstrząsnęły naszą istotą, trwają w nas do końca życia.

Tak było i ze mną. Roma, do której najwięcej zbliżyłem się w owym okresie, gdy była siostrą Agatą, żyła się nierozzerwalnie z moją jaźnią. Obraz jej trwał we mnie. Mimo pozorną śmierć żyła wszystkimi sokami mojej duszy. Każda z odmian, które obecnie w osobie Romy spostrzegałem, mąciła ten obraz, wadziła o spychany rozmyślnie w niepamięć łańcuch wątpliwości, drażniła je i rozdmuchiwała...

Od czasu poślubienia Romy żyłem przeto w ustawicznej rozterce. Ambicya jej tak była wielką, że postanowiwszy raz okazać mi się inną, przeprowadzała swój plan z konsekwencją wprost zdumiewającą. Z każdym dniem odkrywałem w niej szczegóły, które stanowczo były nowe. Jak gdyby wyczuwała mój badawczy wzrok i starała się ukryć przed nim, wdziewała maskę na maskę.

Było w tem tyle niesłychanego wyrafinowania, że gra ta wzburzała mię nieraz do najwyższego stopnia i zwolna zaczęła moje uczucie miłości i uwielbienia znieprawiać bolesnem rozgoryczeniem i nieufnością. Zacząłem w największej ciszy i skrytości prowadzić z nią zaciekłą walkę. Zacząłem szpiegować i podpatrywać każdy jej ruch, spojrzenie, słowo — z tajemnym pragnieniem, by w jakiegokolwiek, choćby najbliższej rzeczy schwytać ją na kłamstwie lub nieszczerości i tym sposobem utwierdzić się w przekonaniu, że gra komedye...

Tą moją podziemną pracą kierował także lęk i dręczący wyrzut sumienia, budzący się we mnie każdym razem na myśl, że Agata może przecież była inną osobą i z mojej przyczyny musiała odebrać sobie życie...

Ze zmyślnością biegłego detektywa snułem intrygi, zastawiałem sidła, czyhając na najmniejszy objaw obłudy lub fałszu. Nawet gdyby mię wówczas była z kim zdradziła, byłaby mi tem ulgę sprawiła w cierpieniach!

Ale Roma była nieskazitelną jak brylant.

Tylko na tym punkcie — — —!

Jest to już właściwością mego usposobienia, że najsmutniejsza pewnośc jest mi miłszą, niż dręcząca wątpliwośc. Niepewnośc w sprawie, która mnie blisko obchodzi, staje się dla mnie straszną przez tę kuszącą siłę, z jaką ściera na siebie wszystkie władze mego umysłu, opętując stopniowo duszę jak zmora o tysiicach ramion.

W obłędnej żądzy poznania sięgnąłem wreszcie do podstępu. Raz przy kolacyi rozmyślnie więcej piłem i zacząłem udawać na wpół pijanego. W takim stanie zapytałem z nienacka: „Jakim sposobem wydostałaś się wówczas z lazaretu?“

Ani drgnęła. Tylko, spojrzawszy na mnie z lekkim zdziwieniem, uśmiechnęła się a następnie, odwracając mój kieliszek dnem do góry, rzekła: „Słabą masz głowę, Adasiu, nie pij więcej“...

Od owego wieczora zmieniłem swoje postępowanie. Postanowiłem przekonać się, jak daleko potrafi kobieta posunąć się w swoim kapryśnym uporze. Czy nie poświęci w końcu swej tajemnicy dla mego spokoju?

Nazajutrz, przy śniadaniu, skierowałem rozmowę na mój pobyt w polu i całując ją po rękach, dziękowałem jej za miłość, którą mi osładzała owe straszne chwile i za poświęcenie, z jakim czuwała u mego łóża. Przytem rzekłem: „Gdy odzyskałem przytomność po owym straszliwym wstrząsie, opowiadano mi, że ze łzami modliłaś się przez całą noc o moje zdrowie.“ — — — Nie dokończyłem jeszcze zdania a Roma, błędąc coraz bardziej, osunęła się nagle głową za poręcz fotelu. Zemdląła...

Poznałem bezskuteczność swoich usiłowań i postanowiłem znowu zamknąć się w sobie ze swą zagadką, choćby mię miała do cna strawić.

A tymczasem rosta druga zagadka, żywa, w niej, w jej łonie... Czyje dziecko? Czyżby naprawdę je go?

Godzinami przeszukiwałem wszystkie szufladki i skrytki, przeglądałem uważnie wszelkie notatki, książki i zapiski hr. Stefana, by natrafić choćby na najmarniejszy ślad jego stosunku do Romy. Ale wszystko napróżno.

Mijały tygodnie, a wysoki stan jej ciąży zdawał się z każdym dniem potwierdzać prawdziwość jej wyznania.

I na cóż zda się wszelka wyrozumiałość, wszelka po-
błażliwość? „Pod sercem nosi jego dziecko!” — krzyczało
we mnie dniem i nocą.

Zacząłem odczuwać wstręt do jej ciała i jej pieszczot.
Bywało, że gdy nieświadoma moich stanów uśmiechała
się do mnie kusząco, zacierając mi głęboko w oczy, nie
umiałem opędzić się wrażeniu, że dostałem się w moc
jakiejś zniechęconej upiorzycy, która niepojętą magią
swego wzroku niewoli mnie nieprzeparcie i ujarzma.

„To będzie chłopiec, prawda?... Nazwiemy go Ste-
fan” — rzekła raz, obudziwszy się z długiego zamyślenia.
Krew uderzyła mi do głowy. Zerwałem się i wyszedłem
bez słowa. Pobiegła za mną. Przykląkwszy na dywanie,
oparła głowę na moich kolanach i rzekła błagalnie:

„Przecież wszystko ci napisałam! Dlaczegoż gnie-
wasz się?”

„Bo nie masz nademną litości!” — zawołałem w nie-
pohamowanej rozpacz.

„Zamęczasz mnie niezrozumiałym kaprysem! Prze-
cież jestem lekarzem — byłbym zauważył!”

Przez oczy jej przeleciał szybki błysk. Rysy twarzy
zaostrzyły się niezwykle, potem z nagłym rozjaśnieniem,
rumieniąc się lekko, zaczęła mówić, spoglądając na mnie
jakby z lękiem:

„Więc niechaj będzie... Skoro nie możesz pogodzić
się z tą myślą... powiem ci prawdę...”

Chwyciłem jej głowę w obie ręce i zająrzałem w oczy.
Patrzyły na mnie teraz ze zdwojoną przenikliwością, wwiercały
się spojrzeniem wprost do mózgu.

„Chciałam cię tylko doświadczyć... To dziecko jest
twoje... Poczęte tam”.

Pierwszy raz w życiu zapłakałem, gdy zdjęła mi ze
serca straszną klątwę tajemnicy. I Roma płakała razem
ze mną i tak wśród łez radości pojedналиśmy się ze sobą.

O, gdybym na tem był poprzestał!

W serdecznym odpływie nietamowanej nareszcie
szczerości, ująłem jej rękę wązką, białą, dziwnie ciepłą
i spoglądając jej ufnie w oczy, zacząłem opowiadać o tych
wszystkich nieludzkich udręczeniach, które przechodziłem
po jej tajemniczym zniknięciu... Jak to oszalały rozpacz,

błąkałem się nad brzegami Martwego Stawu, gdzie zdawa-
łem się widzieć ją na wznak leżącą i spoglądającą swemi
zielonemi oczyma — szeroko — nieruchomo — dniem
i nocą. — — — Jak w mojej chorej wyobraźni sam Staw
zielony, z wilgotną czarną źrenicą szła w pośrodku, po-
czął się jawić niby potwornie wyolbrzymione martwe oko,
jak patrzył na mnie swem jednostajnym i martwym spoj-
rzeniem i ciągnął ku sobie a równocześnie napełniał mnie
grozą...

Widziałem, że słuchała tego z trwogą. Lecz zasug-
gerowany siłą własnego wspomnienia, tą przeklecie żywą
przeszłością, ulegałem jakiemuś wewnętrznemu musowi
i opowiadałem dalej...

Drzenie wstrząsało je ciałem. Gdy wypuściłem z dłoni
jej rękę, była całkiem zimna...

Spodziewałem się, że opowie mi w zamian coś
o swoim powrocie do domu. Ale zamiast tego, z niesły-
chanym smutkiem objęła mnie za szyję ramionami i bła-
gała, bym o tem wszystkim: więcej nie wspominał. Była
jak dziecko do głębi przestraszona...

Od tej chwili ją straciłem. Zabiły ją jej własne
oczy — — —

Nie patrzcie na mnie z takim zdumieniem! Chwi-
leczkę cierpliwości....

Zbliżam się do końca”. —

Rolski odetchnął ciężko. Potem nagłym, nerwowym
ruchem napełnił kieliszki, wypił duszkiem i nalał poraz
drugi. Przez chwilę milczał i jakby nasłuchiwał... To wiatr
na dworzę szumiał i lekko wstrząsał oknami. Rolski wy-
chylił do dna drugi kieliszek wina i ciągnął dalej swe
dziwne opowiadanie:

„Wiadoma to rzecz, że kobiety w okresie macie-
rzyństwa są nerwowe i lękliwe. Z tem nie liczyłem się.
To była moja wielka wina. Opowiadanie o zielonem oku
Martwego Stawu wywarło na nią niezatarte wrażenie.
Może dlatego, że na staw ten drogą tajemnych skoja-
rzeń przeniosłem był fascynującą siłę jej oczu, podnie-
sioną do jakiejś zatrważającej wizyjnej potęgi...

Zacząła się lękać własnych oczu.

Po nocach sypiała niespokojnie. Tulila się do mnie jak przelękniona dziecina. Prawie nie zdejmowała ramienia z mej szyi. Rano skarżyła się, że ją wizya Martwego Stawu przesładuje... Kazała pozdejmować ze ścian i ukryła głęboko wszystkie swe podobizny, szkice i portrety, w których hr. Stefan w tak różnorodny sposób ujmował motywy jej oczu...

„Dlaczego to czynisz, Romo?” — pytałem.

Jakby to było czemś całkiem naturalnem, mówiła spokojnie:

„Bo jest w nich niepokojąca zieleń Martwego Stawu... I wszystkie te oczy tak szeroko patrzą... I tak przenikliwie...”

„Dawniej nie miałaś tego wrażenia?” — rzekłem.

„Może nie zdawałem sobie z tego sprawy... A teraz zdaje mi się, patrząc na te obrazy, że otoczona jestem sobowtórami, które wciąż mnie śledzą... Wiesz, one mi zazdroszczą życia...”

W oczach jej widziałem obłąd.

Wszelkie moje zabiegi były na nic. Chciałem ją wywieźć z tego przeklętego zamku, ale nie dała się do tego skłonić. „Nie ujdę jej — mówiła... Agata ma oczy otwarte. Patrzy na mnie i woła. Te wszystkie oczy, to jej oczy...”

Pewnego dnia przysłoniła wszystkie zwierciadła kirem. Było to wczesnym rankiem. Szła w negliżu z rozpuszczonymi włosami, od lustra do lustra.

„Co czynisz?” — pytam przerażony.

Spojrzała na mnie z uśmiechem i rzekła głosem, w którym brzmiała głęboka ulga:

„Ja przecież umarłam... Czy ty nie wiesz, że siostra Agata nie jest moją siostrą? To bylam ja, ja sama... Cicho leżę na dnie... Fala czesze moje włosy a ja mam oczy otwarte i patrzę... Gwiazdy nademną wschodzą i zachodzą... Księżyc zstępuje do mnie na dół, tuli mnie i muska palcami po twarzy... Palce jego są długie, białe, zimne... A słońce nigdy nie zagląda do mnie... Każ wyciąć te wysokie drzewa, bo słońce nie może się przedostać przez nie...”

O drzewach tych mówiła częściej, a gdy zbywałem to byle jakąś odpowiedzią, wzięła mnie raz za rękę i kazała iść ze sobą. Wyprowadziła mnie ze zamku do ogrodu, przeszła park na całą długość. Potem kazała mi wstąpić na okalający mur, który był przeszło dwa metry wysoki. W murze były szczyrby i wnęki, z których powypadały były zwietrzałe cegły. Z łatwością więc mogłem wykonać jej życzenie. Gdy stanąłem na górze, ledwie zdołałem powstrzymać okrzyk przerażenia. Do muru przylegał wązki wał a tuż za nim ciągnęło się jezioro, od strony południowej zamknięte szeregiem wysokich drzew, od których cień padał na całą powierzchnię wody. A w samym środku widniał jakiś czarny przedmiot. Nigdy tego jeziora przedtem nie widziałem a podobieństwo jego do Martwego Stawu w związku z tem, co mówiła o niem Roma, napełniło mnie głęboką trwogą. Skoczyłem z muru, starając się, jak mogłem, ukryć przed Romą swoje przerażenie.

„Każę te drzewa ściąć” — uspakajałem chorą.

Postanowiłem wywieźć ją przemocą. W największej tajemnicy przed nią zarządziłem przygotowania, by nazajutrz rano z nią wyjechać. Przez cały dzień i przez całą noc nie odstępowałem jej, by nie domyśliła się czegoś. A jednak musiałem w nocy zdrzemnąć się na chwilę, bo gdy przed świtem spojrzałem na łożę, Romy w niem nie było. Obudziłem służbę. Przeszukaliśmy cały zamek, cały park, daremnie. Rankiem wyciągnięto z jeziora jej zwłoki — — —

Zaiste, niepospolita we mnie siła, jeśli wszystko przeżyłem! Rzuciłem przeklęty zamek, nie zabierając stamtąd nic, prócz jej portretu. Przy jego pomocy znajomy rzeźbiarz sporządził mi dwa odlewy gipsowe całej jej postaci. Dlaczego dwa? Bo ilekroć myślę o Romie, jawi mi się ona we dwóch postaciach... Tu, w przyległym pokoju jest jej mauzoleum. Tam spędzam każdą samotną godzinę w niemej rozmowie z mą dwujedyną Romą-Agatą... Wiem, że przebywanie z niemi jest dla mnie zabójcze. Ale demoniczna władza jej oczu nademną trwa nadal w niezminiejszej sile. Ilekroć opieram się pokusie, by tam wejść, słyszę tajemne, ale wyraźne wołanie...”

Umiłkł nagle. Z ustami jeszcze na wpół otwartymi wznosił głowę, szeroko rozwarł oczy i siedział tak nieruchomo, jakby nadśluchiwał...

Głuche milczenie zaległo dokoła. Oblicza słuchaczy wyrażały przynębnienie, z którego nie mogli się otrząsnąć. Cisza była tak głęboka, że można było słyszeć każdy oddech. Wszyscy śledzili twarz Rolskiego z jakimś skorpionym niepokojem. Było to, jakgdyby w tej ciszy czaiła się tajemna trwoga i oczekiwanie czegoś niezwykłego.

Rolski, który wciąż siedział łokciami oparty o fotel, wznosił lewą rękę i wysunął wskazujący palec, potem zatrzymał go nieruchomo, jakby upominając obecnych do milczenia. Twarz jego zmieniła się nagle. Szczęki ścisnęły się tak mocno, że kości policzkowe wystąpiły wyraźnie; brwi najeżyły się a między brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka. Oczy stały się groźne, przeszywające.

„Słyszycie?“ — syknął przez zaciśnięte zęby.

Wszyscy mimowoli drgnęli.

„Słyszycie? — powtórzył — woła...“

Pod wpływem sugestyi przybrali wyraz twarzy Rolskiego.

„A-dam... słyszycie?... A-a-dam...“

Wszyscy równocześnie wstrząsnęli potakująco głowami. Nikt nie śmiał przemówić. Byli jak zahypnotyzowani.

A wołanie ozwało się poraz trzeci. Dalekie, ciche a przeciągłe... Jak gdyby wiatr dwoma rozpostartymi szeroko skrzydłami uderzał raz w raz głucho o mur domu...

Rolski zerwał się i wbiegł do przyległego pokoju.

Towarzysze jego spojrzeli po sobie, osłupiali.

„Poco tam poszedł? Co to wszystko znaczy?“ — szepnął Beralski tajemniczo przyciszonym głosem.

„To niepojęte — odparł Bury. — A przecież ktoś naprawdę woła!...“

„To nie był ludzki głos“.

„A jednak wołał“.

„Musiało nam się tylko zdawać“.

„Szkoda Rolskiego. Chory człowiek... Nie byłbym nigdy uwierzył, że on, który tak jasno myśli, potrafi uledeć takim omamieniom“.

„O których omamieniach mówisz?“

„Przedewszystkiem to uporczywe trwanie w błędzie co do osób. Stanowczo chorobliwe urojenie! Dla mnie jest to zupełnie jasne, że Roma i Agata to dwie różne osoby“.

„Ja nie mam tego przekonania — odparł Bury. — Ale nie zostawiamy go tam samego“.

Jeszcze nie podnieśli się z miejsc, gdy nagle usłyszeli w sąsiednim pokoju głuchy łoskot i trzask, potem jeden jedyny rozdzierający okrzyk bólu, a potem jęk słaby i rżenie...

Przeszła ich zimna groza.

Pierwszy porwał się z miejsca Beralski i wpadł do drugiego pokoju. Za nim pospieszili pozostali.

Wśród gruzów dwóch strzaskanych posągów leżał Rolski na posadzce, z rozbitą głową, w kałuży krwi.

Beralski ujął go za puls i szepnął po chwili: „Nie żyje...“

„Ależ jak się to stało? Co tu zaszło?“ — pytał Bury, wodząc dokoła przerażonemi oczyma.

„Spojrzcie! — zawołał Beralski. — Na jednym posągu spoczywa, drugi leży na nim. Nieszczęście musiało stać się w taki sposób: Oba te posągi stały naprzeciw siebie, w nieznacznym oddaleniu. Rolski zapewne wszedł w środek, widzicie, tu, gdzie wisi portret. Wir wspomnienia, który go ogarnął, musiał przyprowadzić go o zawrót głowy... Czując, że się chwieje, chwycił odruchowo za posąg, za ten — widzicie? — rękę jeszcze ma na torsie — a padając, pociągnął go za sobą, przewracając równocześnie plecyma drugi posąg“.

A Bury odparł jakby w głębokiej zadumie:

„Nie wątpię o tem, że masz słusność... A jednak — czy to nie jest bardzo osobliwe... że właśnie tu wyzionął ducha... i to w taki szczególny sposób... między Agatą i Romą... w kamiennym uścisku... w oczach tej dziwnej twarzy, patrzącej z portretu...“

„Ależ kolego! Przecież w tych oczach niema nic nadzwyczajnego!“

SIECI.

On był już dobrze podstarzałym kawalerem, uczonym o pierwszorzędnym nazwisku, zwyczajnym profesorem na wydziale filozoficznym uniwersytetu w X. Specjalność jego stanowiły studia o istocie miłości w ogóle, a o fizjologii miłości kobiety w szczególności.

Liczne jego rozprawy naukowe znalazły nieograniczone uznanie u miarodajnej krytyki i świetny poklask w szerokich kołach czytelników i czytelniczek.

A kim była ona? — Pięknem, smukłym dziewczętakiem o kasztanowatych włosach i dziewiczo świeżym liczku, z którego promieniały wiośniane blaski. Umiała prześlicznie wznosić powieki i ukazywać duże, czarne oczy, w których paliły się wszystkie cuda świata. Miała delikatne, białe ręce o smukłych, giętkich palcach pierwszorzędnej pianistki. Palcami tymi tak zgrabnie umiała naciągać rękawiczki na ręce swoich klientów, że żaden nie odchodził bez jednej przynajmniej pary, jeśli miał tylko odrobinę zmysłu dla piękna i gracy.

Cóż dopiero profesor Lux ze swoim przenikliwym wzrokiem badacza! A ponieważ towar nie należał przypadkowo do najlepszego gatunku, było to rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w krótkich odstępach czasu wciąż przychodził i tym sposobem stał się niejako stałym gościem.

Zdarzyło się raz, że skrzętna Ludwisia w swej kumpieckiej gorliwości, podczas zapinania guziczka zbyt ciasnej rękawiczki, zwinnymi koniuszkami palców o jedną nuancę mocniej, niż wymagała potrzeba, przycisnęła rękę uśmiechniętego zrezygnowanie pana profesora i drobną cząsteczkę

jego skóry, marszczącej się łatwo z powodu niemłodego już wieku, chwyciła w zatrzask. Gdy wśród lekkich rumieńców usprawiedliwiała się z tego powodu w sposób rozbijająco miły, profesor całym wysiłkiem woli pokonał ból i spoglądając z ukosa na pieśczołtliwie wydęte, nieprzeparcie uwodzzące usta, zauważył:

„Pani jest jedyną na świecie istotą, która w tak delikatny i bezbolesny sposób potrafi ból sprawić“.

Ludwisia uśmiechnęła się wstydliwie i przepraszająco, patrząc mu równocześnie wdzięcznym i pokornym wzrokiem długo i głęboko w oczy.

Owego wieczora stracił profesor wewnętrzną równowagę, pochylił się nad stołem tak daleko, że swem uczonym czołem musnął wymykający się swawolnie loczek jej kasztanowatych włosów — i zaproponował jej spotkanie w ogrodzie.

Ludwisia tą bądź co bądź nagłą propozycją nie bardzo była zaskoczona. Zajrzała mu na chwilę badawczo w oblicze, przyciem oczy jej, zazwyczaj tęskne i poważne, przyjęły wyraz cośkolwiek zalotny. Tłumiąc uśmiech, odparła:

„Skoro pan profesor sobie życzy...“

Gorzki posmak tej odpowiedzi towarzyszył profesorowi przez całą drogę do domu.

„Moje zaproszenie musiało jej się przedstawić jako cośkolwiek niewłaściwe — rozmyślał. — Dlaczegożby?... Ze słów jej dawało się wyczuć jakby poczucie... dystansu... Czyżby dlatego, że jestem profesorem? lub że mam dwa razy tyle lat co ona?“

Urażona miłość własna dodawała bodźca jego ambicyi.

„Nie będzie długo pokpiwała! Ona mnie musi pokochać, ta mała!“ — postanowił sobie nowonarodzony Don Juan.

„A co dalej?“ — Tu urywał się wątek jego myśli.

„Na tem właśnie polega prawdziwa donjuanerya“ — konstatował z naukowego stanowiska.

Gdy przyszła niedziela, profesor nadaremnie ją oczekiwał.

W poniedziałek otrzymał liścik. Pisała:

„Czcigodny Panie Profesorze! Proszę wybaczyć: akuratnie w niedzielę byłam niezdrowa...”

Na profesorze nie wywarł ten list żadnego określonego wrażenia, ale Don Juan uznał go wielce obiecującym. Tego samego wieczora kupił sobie profesor parę rękawiczek.

„Potrzebuje pan już znowu rękawiczek?” — żartowała Ludwisia.

„Czternasta para” — zaśmiał się profesor.

„Tak?! — zawołała Ludwisia — teraz pojmuję związek: zaproszenie pańskie nastąpiło po trzynastej parze! To niefortunna liczba!”

„Tylko bez zabobonów!” — uśmiechał się Lux. — „Lecz chcąc panią zupełnie uspokoić, odwołuję propozycję”.

Ludwisia spojrzała na niego z nietajonem rozczarowaniem.

„I zapraszam panią na nowo” — dokończył.

„Ach, tak! To co innego”.

„Ale pani już jest zdrową?” — dorzucił szeptem.

Ludwisia skłoniła główkę, a twarzyczka jej, która dziś była blejsza niż zwykle, zaczerwieniła się nagle.

Jako profesor fizjologii przejrzał Dr. Lux odrazu chorobę Ludwisi.

„Ona to więc przecież t a k rozumiała!” — tryumfował w nim Don Juan.

Obojgu im jednak znaczony był zawód: Ludwisia przedstawiała sobie to całkiem inaczej!

Spodziewała się, że profesor pójdzie z nią na operę — ach, ona tak przepadała za muzyką! — albo zaprosi ją do cukierni, albo przynajmniej do kina. Tymczasem już po pierwszym spotkaniu przekonała się, że wcale nie żywi podobnych zamiarów, że on się jej towarzystwa wstydzi, chociaż jest całkiem porządnie ubrana i że najchętniej ukryłby się z nią w jakiejś mysiej dziurze. Wydawało jej się to jałowem i nudnem. Przy pożegnaniu zaprosił ją do swego mieszkania — — — Cóż on sobie właściwie o niej myśli, ten stary gach?

Poprzysięgła mu zemstę. I tylko z tego powodu powiedziała mu jeszcze: „Do widzenia”.

Była jeszcze, co prawda, dość niedoświadczoną, ale tego ona już potrafi dokazać, że się ten podtatusiały dandyś po uszy zakocha i jak waryat będzie za nią latał i błagał o jedno przyjazne spojrzenie — ale ona będzie dla niego miała kamienne serce i nie da się wzruszyć żadnymi pochlebstwami ani chociażby i najkosztowniejnymi podarunkami!

Pokaże się wtedy, czy będzie się jeszcze wstydził wyjść z nią na ulicę!

Rozgorzała walka. Rozpoczęły się niezwykle, ambicyą i żądzą zemsty żywione zabiegi o zdobycie przeciwnika, pojedynek prowadzony z równym po obu stronach zapalem, ale z nierówną bronią.

Nikt zapewne pod słońcem nie mógł się poszczycić taką nieskończoną ilością czułych spojrzeń, szczęśliwych uśmiechów i słodkich słówek, pełnych uznania i podziwu, jakimi Ludwisia obsypywała profesora.

Nawet najgorliwsi zwolennicy dra Luxa nie natrafili zaiste w jego pismach na tak obfite bogactwo świetnych pomysłów i dowcipów, na jakie zdobywał się w towarzystwie Ludwisi.

Ludwisia nie potrzebowała zresztą zadawać sobie szczególnego trudu, by przykuć do siebie profesora, któremu już przecież na pierwszy rzut oka tak nadzwyczajnie się spodobała.

Natomiast usilne starania profesora, by w sercu jej równe wzbudzić uczucia, nie osiągały zamierzonego celu. Nic to nie pomagało, że po wyczerpaniu wszystkich konceptów począł duchowe dary zastępować mniej wartościowymi i przynosić jej jużto kwiaty, jużto bonbonierki, raz broszkę złotą, to znów jedwabną bluzkę: Ludwisia zbyt była delikatną, by pocziwemu profesorowi przez odmowę sprawiać zmartwienie: przyjmowała wszystko z wdzięcznością, okazując mu zawsze jednaką uprzejmość i jednaki chłód.

Nawet wówczas, gdy serce przed nią otworzył i swe gorące uczucie jej wyznał, zapewniając, że ona jest pierwszą w jego życiu i t. d. — uśmiechnęła się tylko z zadowoleniem, nie zdradziła jednak żadnego głębszego wzruszenia i nie wyrzekła ani jednego słowa pociechy.

To go już zbyt mocno dotknęło. Czegoż ona jeszcze żąda? Niechaj będzie, że jest stary i brzydki, że jest zasuszonym mołem książkowym — do roli nieszczęśliwego kochanka Ludwisi przecież nie da się poniżyć!

Postanowił rozstać się z nią na zawsze. Praca przywróci mu utracony spokój.

Pomylił się jednak. Praca nie szła. Nie był już tym samym człowiekiem. Niegdyś pan swoich myśli, był obecnie ich niewolnikiem. Nie dawały mu się teraz prowadzić za cugle, rozlatywały się jak dzikie gołębie i krążyły wciąż tą samą drogą, od niego do niej i od niej do niego, szepcząc mu w ucho niezrozumiałe dźwięki, które brzmiały jakby głos Ludwisi.

Skrzydłami swemi rzucały długie, mroczne cienie, jak gdyby Ludwisia rozpostarła przed nim płaszcz swych kasztanowatych włosów... a często spoglądały na niego jej oczyma...

Nie umiał o niczem innem myśleć, jak tylko o niej, nad niczem innem się zastanawiać, jak tylko nad przyczyną jej niechęci. Przypuszczenie, jakoby jego fizyognomia nie była jej sympatyczną, odrzucał. Stawał przed lustrem i musztrował uważnie swój obraz. Pod względem postawy i wyrazu twarzy nie miał sobie nic do zarzucenia. Nieliczne siwe włosy, które wyblyskiwały srebrnie z gęstej czarnej brody, tych kilka zmarszczek na skroniach — to przecież nie mogło być miarodajne.

Czyż owego wieczora, kiedy ją po raz pierwszy zaprosił, nie dała mu wyraźnie do poznania, że jej się podoba? — Przyczyna musi więc leżeć gdzieindziej, głębiej. Ale on nie czuje się na siłach, by rozwiązać tę zagadkę. Jest wstrząśnięty do głębi swej istoty. Siła jego myślenia jest stępiona.

I tak znalazł się uczony w tem niewątpliwie niezwykłym położeniu, że musiał do własnych sięgnąć pism, by w nich poszukać odpowiedzi na zagadnienie, przed którym go niespodziewanie postawiło życie.

Otworzył książkę „O fizjologii kobiecej miłości“ i z nerwowym pośpiechem przewracał kartkę za kartką, krocząc od rozdziału do rozdziału. W ustępie „O etyce miłującej kobiety“, stronica 367, czytał:

„Tylko w stosunku do własnych dzieci jest uczucie kobiety bezinteresowne. Dziecko jest punktem środkowym i jedynym, ostatecznym ujściem wszystkich jej idealnych uczuć i myśli. W stosunku do mężczyzny jest ona zawsze samolubna, a samolubstwo to sięga nawet do najgłębszych pokładów jej życia uczuciowego. Stąd to pochodzi, że nie tylko jej ciało, ale i miłość jej jest sprzedajna“.

Odetchnął z ulgą i czytał dalej:

„Obcą jest jej czysta, słoneczna radość obdarowujących. Zbyt mało pańskości jest w jej charakterze. Tysiąclecia niewoli czają się w mrocznych kątach jej duszy. I nie wedle poczucia własnej wartości, lecz wedle stopnia, w jakim bywa pożądana, stanowi swą cenę.

Pochodzenie, wychowanie, wykształcenie nie są przy tem, rzecz jasna, bez znaczenia. Stosownie do swego stanowiska społecznego, sprzedają się jedne za gotówkę, inne za klejnoty, większość atoli za policę ubezpieczenia na życie, którą nazywają małżeństwem. Słowo „małżeństwo“ brzmi jak prawdziwe czarodziejskie zaklęcie w uszach każdej dziewczyny; posiada ono tajemniczą siłę, pod której działaniem topnieją najoporniejsze pancerze lodowe; ono to przecież przynosi im zwiastowanie ziszczenia najtajniejszych marzeń, urzeczywistnienia najwyższego celu życia. Dlatego to tak rzadko się zdarza, by dziewczyna zakochała się w mężczyźnie, który nie otwiera przed nią widoków małżeństwa — — —“.

Dr. Lux zamknął książkę. Z prawdziwym uczuciem wdzięczności dla autora.

„Jest to, bądź co bądź, zjawiskiem zdumiewającym, pomyślał, o jakie całe niebo mądrzejszym bywa się w teorii niż w praktyce“.

Niby cień, pierzchył odrazu wszystkie wątpliwości. To, co przeczytał, stało mu się drogowskazem dla dalszego ukształtowania stosunku z Ludwisią.

„Czy byłaby pani gotową poślubić mężczyznę znacznie od siebie starszego?“ — zapytał przy najbliższem spotkaniu.

Ludwisia spojrzała na niego zdziwiona tym niespodziewanym zwrotem.

„Gdyby mi był miły, zapewne...“ — odparła.

„Nawet gdyby go pani nie kochała?” — ciągnął dalej.

„Toby już przyszło z biegiem czasu” — pocieszała go Ludwisia.

„Przecież kobieta z innym sercem odnosi się do mężczyzny, z którym wiąże się na zawsze, niż — — — nieprawdaż, panie profesorze?”

Od czasu tej rozmowy zaszła głęboka zmiana w ich stosunku. Zalotność jej stała się jeszcze bardziej wyrafinowana, choć więcej ukrytą. Udawała poważną, stateczną, szczerą i czułą.

Skarzyła się (czego nigdy przedtem nie czyniła) na niezdolność stosunki rodzinne, przez które wiele musi znieść. Okazywała wielką troskliwość i niepokój o zdrowie swego chorowitego ojca. Stała się nagle bardzo oszczędną i nie chciała przyjmować podarunków, nazywając je zbyt-kiem i marnotrawstwem. Dłoń jej ścisnęła mocniej, usta całowały cieplej i serdeczniej. Miała dla niego więcej czasu. Odechodziła z westchnieniem.

A profesor tryumfował! Miał przecież podwójny ku temu powód: jako uczonej, iż teoria jego świetnie się sprawdziła; jako kochanek, iż Ludwika coraz mocniej do niego lgnęła.

Gdy ją raz zapytał, czy go kocha, objęła go smukłymi ramionami tak serdecznie, jakgdyby cała jej istota wołała do niego: „Widzisz przecież, że jestem twoją, duszą i ciałem!”

Wówczas przestał się wstydzić — i pewnego pięknego poranka poprowadził ją do ołtarza.

I nie pomylił się profesor. Bo Ludwisia kochała go, jak tylko żona potrafi kochać swego męża — i zdradzała go, jak tylko żona swojego męża zdradzać może.

GŁUPIE SERCE.

I.

Byliśmy obaj świeżo po maturze i przechodziliśmy nasz okres „weltschmerzu“, ja i mój przyjaciel, Roman Halski.

Uspodobienia nasze nie zupełnie się zgadzały, choć byliśmy obaj pełni rozgoryczenia na świat, życie i ludzi. Ale to właśnie sprzyjało namiętnej nieraz wymianie zdań i zapatrywań, ku czemu ludzie w naszym wieku tak silną odczuwają potrzebę. Byliśmy gorącymi idealistami i obaj pieściliśmy w sercu nieokreślony (niestety!) bliżej plan przebudowy świata i przemienienia ludzi; różnica zaś między nami była ta, że Halski upatrywał źródło zła we wadliwym ustroju społecznym, ja zaś w niedoskonałym ukształtowaniu psychicznym człowieka. Pessimizm mój sięgał przeto głębiej, był bardziej zasadniczy, bo i wadliwy ustrój społeczny pojmowałem jako wykwit i nieunikniony skutek ludzkiej ułomności. Halski żywił fanatyczną wiarę w rozwój i postęp, był urodzonym moralistą. W słowniku jego istniały jeszcze słowa: „grzech“ i „wina“, a każdy upadek i zbrodnię wywodził, nie jak ja z popędów ludzkich i zaniku woli, lecz z nieszczęśliwego ugrupowania stosunków zewnętrznych, za które odpowiada społeczeństwo. Przemówienia jego były pełne patosu i kapłańskiego namaszczenia, gdy mój pessimizm, skrajny i beznadziejny, nasuwał mi nieraz uwagi chłodne, ba cyniczne.

Nadmienić muszę, że jakkolwiek wiekiem nie byłem od Halskiego starszy, miałem nad nim niewątpliwą przewagę. Gdy bowiem dla niego nie istniał świat poza książką i przyrodą, ja przebywałem często w towarzystwie osób

starszych, łowiłem ciekawem uchem młodzieniaszka ich opowiadania, uwagi i spostrzeżenia życiowe i stąd posiadałem wiele doświadczenia, choć czerpanego z drугiej ręki.

Ponadto miałem już za sobą jedną zawiedzioną miłość; przebyłem więc już był swój pierwszy z życiem pojedynkę i nosiłem po nim w sercu zasklepioną bliznę. Kobieta nie była już dla mnie aniołem. Mój przyjaciel natomiast był jeszcze „dziewiczy“ i w stosunku do kobiet zupełnie naiwny. Nie znosił pań i pańien z towarzystwa; były to dla niego bezduszne lalki, małpy i papugi. Nieraz mawiał, że jeśli się kiedyś ożeni, to tylko z ubogą dziewczyną, któraby miała szczere serce i prawy umysł; onby ją sam wychował i wykształcił. Te słowa wcale mnie nie dziwiły: Romek był w towarzystwie płci pięknej tak skromny i nieśmiały, że nie mogłem sobie nawet wyobrazić, aby potrafił nawiązać bliższy stosunek z t. zw. panną. Gdyby się nawet w której zakochał, nie miałby odwagi wyznać, tłumilby uczucie w sobie, a ją zamęczałby swem głośnem rozmyślaniami o reformie świata.

Znałem go na wylot i wiedziałem, że niezadługo przyjdzie na niego kolej. Złożenie egzaminu dojrzałości (z odznaczeniem!) napełniło go w wyższym, niż mnie, stopniu poczuciem rzeczywistej dojrzałości i samodzielności, a odłożenie mundurka szkolnego pojmował jako symboliczny akt zrzucenia więzów. To zdobycie długo upragnionej swobody, brak zajęcia, rozczytywanie się w modernistycznej literaturze, jakby naładowanej elektrycznością, i częste, samotne przechadzki wśród bujnie rozkwitającej wiosennej przyrody — nie mogły przecież przejść bez skutku.

Jakoś jednego wieczora, gdy oczekiwałem go na umówionej ławeczce w naszej alei kasztanów na Wałach Hetmańskich, mój przyjaciel skrewił.

Zniecierpliwiony bezczynnem siedzeniem i wyczekiwaniem, zacząłem przechadzać się po alei. Rozglądałem się na wszystkie strony, w nadziei spotkania wiarołomnego przyjaciela.

W jednym miejscu, gdzie alea rozwidła się na dwoje ramion, znajdowała się wzniesiona nieco terasa, trawą wy-

soką porośla i ocieniona drzewami, o które wsparte były niskie ławeczki, błogosławione przez kochanków. W kąciuku, między cztery klony wtulona, stała tam altana, srebrna cd brzozonej kory, z ławeczkami przy ściankach, utworzonych z gałęzi brzozy i pnączy powoju. Rzuciłem okiem w tę stronę. Dziwnym trafem silniejszy podmuch wiatru w tej chwili rozchylił gęstwę liści i w sposób zupełnie uspokajający wyjaśnił mi nieobecność przyjaciela.

Siedział w altanie i żywo giestykulując, przemawiał do milczącej towarzyski, której granatowy kapelusz szerokimi brzegami zasłonił całkowicie jej pochylone ku ziemi oblicze.

Oddaliłem się dyskretnie i postanowiłem udawać niewtajemniczonego i o nic nie pytać, póki mi Romek swojej przygody sam nie zwierzy.

Wracając w godzinę później do domu, zajrzałem pod drodze do jego mieszkania, Romek atoli z przechadzki jeszcze nie był wrócił.

Nazajutrz spotkałem się z nim przed wieczorem w kawiarni. Zbierał się właśnie do odejścia. Nie wiedząc, jakie ma zamiary, nie narzucałem mu swego towarzystwa. Przeprosił mię jakimś niewyraźnym frazesem za wczorajszy zawód, wymówił się jakimś zajęciem i wyszedł. Zachowanie się jego sprawiło mi prawdziwą przykrość. Pomimo wielkiej wyrozumiałości począł się we mnie odzywać żal, coś w rodzaju zawodu. Byłem do niego szczerze przywiązany, cenilem jego otwarty charakter i bezwzględna prawdomówność, przeto sama świadomość, że ma przedemną tajemnice, sprawiała mi nad wyraz niemiłe uczucie. Pocięszałem się tylko myślą, że mu tym razem może rzeczywiście było śpieszno i że przy najbliższem spotkaniu wszystko opowie. Może on sobie zresztą sam nie zdaje jeszcze sprawy ze swego uczucia? Tego rodzaju przypuszczeniami usprawiedliwiałem go w duchu.

Mijał atoli dzień za dniem, a Romek nie pokazywał się zupełnie. Mój żal do niego był tem większy, że sam przed rokiem wtajemniczałem go we wszystkie szczegóły mej nieszczęśliwej miłości i już przez to samo zobowiązałem go niejako do wzajemnych zwierzeń. Doszło do tego, że zacząłem powiatać o jego przyjaźni. Skrytość jego

mię bolała. Z jednej strony odczuwałem ją jako brak zaufania do mojej osoby, z drugiej strony rzucała ona cień na jego charakter, sprawiając mi dotkliwie rozczarowanie.

Po dwóch tygodniach postanowiłem go odszukać.

Może mnie oko zmyliło? Może jego nieobecność ma inne powody? Może zachorował?

Odwiedziłem go w mieszkaniu.

Zastałem go w domu przy dobrym zdrowiu i humorze. Ale zmiana była oczywista. Był więcej niż zwykle podniecony, oczy miał bardziej błyszczące, żywsze ruchy, śmiał się głośniejsze i częściej, mówił szybciej i jakoś zdania urywał. Czasem popadał nagle w zamyślenie i zdawał się zupełnie nie słyszeć, co się do niego mówi. To roztargnienie było dla mnie tak wymownym świadectwem jego stanu, że nie miałem już najmniejszej wątpliwości co do trafności mych przypuszczeń. Co więcej, poznałem, że nie chodzi tu o przelotną przygodę, lecz o przeżycie głębiej sięgające.

W pewnej chwili miałem wrażenie, że Romek walczy ze swoją tajemnicą i nie może powziąć decyzji, czy mi ją zwierzyć.

Po dłuższym bowiem dumaniu podniósł nagle głowę, spojrzał mi wprost w twarz i dziwnie długo zatrzymał na mnie swoje inteligentne czarne oczy. Spotkawszy się jednak z moim wzrokiem, znów pochylił głowę i zanurzył palce w swe gęste, lśniące włosy.

Postanowiłem przyjść mu w pomoc i zagadnąłem:

„Jesteś dziwnie roztargniony...”

Romek przeciągnął się, westchnął, otworzył usta — i znów zamilkł, nie wiedząc, co mi odpowiedzieć.

Wówczas pojąłem, że byłem niesprawiedliwy: Posądziłem go o nieufność; a oto siedząc przy nim, nabrałem niezbitej niemal pewności, że jedynie jego skromność i młodzieńcza wstydliwość zamykały mu usta. Czuję, że mu jego tajemnica dolega, i przyjacielska chęć sprawienia mu ulgi wzięła górę nad moją delikatnością.

„Czy cię spotkała jaka przykrość?” — zapytałem ze szczerą troskliwością.

„Ach, nie” — odparł, patrząc na mnie z uśmiechem wdzięczności. — „Raczej coś zupełnie przeciwnego” —

i śmiejąc się do własnych myśli, począł przechadzać się po pokoju.

„To mnie cieszy” — odparłem — „bo byłem o ciebie trochę niespokojny”.

Romek spodziewał się widocznie dalszych pytań. Znać było bowiem po jego ruchach i ożywionym wyrazie twarzy, że zbiera szczegóły do dłuższego opowiadania. Ja jednak milczałem, chcąc uniknąć odpowiedzi urywkowych, a w zamian za to usłyszeć całą historię.

Istotnie Romek, stanąwszy przedemną, położył mi dłoń na ramię i zawołał:

„Przyjacielu, jestem zakochany!”

Powiedział to z przesadnym patosem, w tonie przedrzeźniania, jakgdyby z góry chciał osłabić ostrze ironicznej uwagi, jakiej się z mej strony niewątpliwie spodziewał. Potem podnosząc obie ręce powyżej uszu, dorzucił:

„Ale aż potąd!”

Nie chciałem go szyderstwem skłaniać do fałszywego tonu, ani obrażać jego wstydliwości, którą i tak z trudem tylko pokonywał. Mimo to nie mogłem powstrzymać pobłażliwego uśmiechu.

„Winszuję!” — rzekłem i wyciągnąłem ku niemu dłoń. Romek podał mi rękę, za którą pociągnąłem go ku sobie. Usiadł koło mnie na kanapie.

„A teraz opowiadaj.”

„Dobrze. Ale wprzódry sobie zapalimy.”

Poczęstował mnie papierosem, poczem wyrzucając z ust kłęby dymu, rozpoczął:

„Owego wieczora, kiedy daremnie na mnie czekałeś, wyszedłem w umówionym czasie na zwykłe miejsce naszych spotkań. U wejścia do głównej alei ujrzałem siedzącą na ławeczce panienkę z otwartą książką w ręce. Usłyszawszy moje kroki, podniosła na mnie oczy i spoglądała na mnie dziwnie długo. Takich oczu nie widziałem jeszcze, odkąd żyję. Duże, czarne, o aksamitnym połysku, myślące, pełne wewnętrznego żaru i jakiejś głębokiej tęsknoty... Nie widziałem jej twarzy ani postaci ani ubioru, nie widziałem nic więcej ponad parę oczu, których promienie szły ku mnie z niepojętą siłą. W tem je-

dnem okamgnieniu stało się wszystko. Doznałem jakby zawrotu głowy i uczucia gorącej duszności w piersi. A wzrok jej jednostajnie nateżony, niby w uporczywym zamysleniu, na mojej osobie zogniskowany, pociągnął mię ku sobie swoją magiczną władzą. Bezwolnie skierowałem krok w jej stronę i uchylwszy kapelusza, bąknąłem drżącym głosem coś w formie zapytania, czy mogę obok niej usiąść. Bez najmniejszego zdziwienia zwróciła się ku mnie całą twarzą, uśmiechnęła się przyjaźnie i szepnęła: „Ależ proszę.“ — tonem tak swobodnym i naturalnym, jak gdyby to było samo przez się zrozumiałe. Ta uprzejmość zmieszła mnie jeszcze bardziej, wywołała bowiem we mnie przypuszczenie, że moja towarzyszka nie domyśla się widocznie pobudek, które skłoniły mnie do zajęcia miejsca właśnie przy niej, pomimo iż wszystkie ławki dookoła były wolne...“

„Przypuszczenie Twoje było fałszywe“ — wtrąciłem.

„Tak jest — zawołał uradowany — widzę, że lepiej ode mnie znasz się na kobietach! Ale w pierwszej chwili nie mogłem przecież wiedzieć, że podobam się jej, i że zechce ze mną gdzieś na publicznym miejscu zawrzeć znajomość. Udawałem przeto zrazu, że wcale na nią nie zwracam uwagi i tylko ukradkiem od czasu do czasu rzucałem na nią spojrzeniem. Żałowałem, że nie usiadłem naprzeciw, bo stamtąd byłbym ją łatwiej mógł obserwować. Tymczasem moją sąsiadka, widząc, że się nie odzywam, przez chwilę patrzyła przed siebie z uśmiechem na twarzy, poczem zajęła się znowu swą lekturą.“

„Ładne wystawiłeś sobie świadectwo na sam początek! Niema co mówić!“ — zadrwiłem.

„Abyś wiedział, że ona się na mnie za to obojętne zachowanie obraziła!“ — zawołał całkiem seryo. — „Sama mi to potem powiedziała.“

„Jak nawiązałeś z nią rozmowę?“ — spytałem.

„Oto gdy z westchnieniem zamknęła książkę i nasze oczy przypadkowo się spotkały — (w tem miejscu chrząknąłem) — zdobyłem się na odwagę i rzekłem: „Już zmierzcha; czyż nie szkoda psuć tak prześlicznych oczu czytaniem?“ — „Cóż mają lepszego do czynienia?“ — odparła. „Nic, choćby tylko patrzeć“ — oświadczyłem.

„Patrzeć — zaśmiała się dziwnie — niczego one nie wypatrzą...“ W tych słowach brzmiał głęboki żal do świata — było w nich jakby echo gorzkiego rozczarowania. „Pani jest smutna — rzekłem z niekłamanym współczuciem. Czy spotkało Panią co złego?“ — Spojrzała na mnie nieco zdziwiona, potem stłumiwszy westchnienie, odparła: „Ani Pan, ani nikt inny nie zmieni tego, co mnie spotkało; pocóż o tem mówić?“ — „Nie można wiedzieć, czy nie zmienię...“ — zauważyłem; nie wierzyłem jednak sam, aby słowa moje mogły odnieść skutek, bo wobec jej głębokiego smutku czułem się zupełnie bezsilny, a ona to po moim głosie musiała poznać. — „Nie mówmy o tych bolesnych rzeczach, które zresztą nie mogą Pana przecież interesować“ — rzekła i znów powiodła po mnie długiem, badawczem spojrzeniem. „Znamy się wprawdzie krótką chwilę tylko — odparłem — ale zrobiła Pani na mnie wrażenie tak miłe, że byłbym doprawdy wdzięczny, gdybym mógł Panią bliżej poznać.“

— „To mnie cieszy“ — odpowiedziała i ponownie zaczęła mi się przypatrywać z dziwnym uśmiechem, jakby zalotnym, a zarazem drwiącym. Zapytałem, dlaczego na mnie tak patrzy.

„Pan jeszcze taki młody!“ — odrzekła ciepłym głosem, a przytem zgrabnym ruchem tak się cała odwróciła, czy też przysunęła, że uczułem się odurzony jej nagłą bliskością. Nie zastanawiałem się nad znaczeniem jej odpowiedzi, lecz pomimowolnie pochyliłem ku niej głowę — i usta nasze złączyły się w długim pocałunku... tak pełnym ognia...“

„Twój chrzest ogniowy!“ — zawołałem — „gratuluje!“ —

„Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak się to stało, jakiej niewytłumaczonej sile dałem się tak szybko porwać... Ująłem ją za obie ręce (były bez rękawiczek i zupełnie zimne) i mocno je ściskając, przeproszałem ją za moją niepohamowaną krewkość. A ona z jakimś wyrazem szczęścia — no powiadam Ci: z nietajonym wyrazem szczęścia — bez najmniejszego cienia urazy lub dziewczęcego zawstyżenia, powtarzała tylko:

„Pan taki młody, z pana takie lube dziecko!“

Po chwili milczenia zaczęła zbierać się do odejścia. Zapytałam, kiedy znów się zobaczymy, ale mi tylko zaprzeczyła głową.

„Nie chce się Pani ze mną więcej widzieć? — rzekłem. — A więc Pani przecież jest obrażona... Byłem istotnie niegrzeczny, ale to już się stało. Cóż mogę więcej uczynić, jak przeprosić?!“

„Przecież ja się nie gniewam“ — szepnęła jakby do siebie.

„Więc czemu Pani nie chce mnie więcej widzieć?“

„Po co?“ — rzekła, patrząc mi prosto w oczy. Na to pytanie nie mogłem znaleźć odpowiedzi. „Przyjemnie mi z Panią porozmawiać“ — rzekłem wkońcu. „Jeśli Pani ma czas, to może poświęci mi Pani jeszcze chwilkę?“. Bez słowa odpowiedzi wstąpiła na terasę, powiodła dookoła ręką i zawołała: „Jak tu ładnie!“ A po chwili dodała ze smutkiem: „Dwa lata temu byłam tu z nim... Odtąd unikałam tego miejsca“. Teraz domyśliłem się już źródła jej smutku. Nie chciałem wywoływać przykrych wspomnień, więc milczałem. Myśli jej ścigające cień przeszłości odebrały mi swobodę, pociągnęły mię za sobą w jakieś wizyjne cmentarzysko zawiedzionych uczuć i sprawiły, że z mimowolnym ociąganiem się tylko szedłem za nią w to miejsce, innemu należne. Usiadła w altanie i pochyliła głowę. Zająłem obok niej miejsce i nagle pojąłem całą głębię jej tak prostego w swej niewymuszonej szczeroci zapytania „poco?“ — Zdawało mi się, iż stopami depcę czyjaś murawą porośłą mogiłę, w której siedząca obok mnie dziewczyna złożyła całą swą miłość i nadzieję... Więc teraz ja tu... po co?... Musiałem słowo to bezwiednie wymówić, gdyż w tej chwili zwróciła się do mnie z pytającym spojrzeniem. Zmieszany rzekłem: „Dlaczego Pani ze mną poszła tu?“

„Pan mi tak żywo go przypomniał!“

„Czy jestem do niego podobny?“

„Nie... W każdym razie nie z twarzy.“

„Tylko jak? Z postaci?“

„I to nie... Nie wiem, jakby to powiedzieć... On także był taki delikatny... inny od wszystkich mężczyzn... taki nieśmiały, taki biały kwiat...“

„Nie mogę ci opisać, jak mnie temi słowami ujęła. Nie dlatego, iżby mi pochlebiła... ale że tak wyczuła i upodobowała sobie moją. że tak powiem, nieskalaność...“

„A jednak — — —“ dodała, potrząsając smutno głową... A potem ściągając twarz z wyrazem wielkiego bólu i wyprostowując się jakby w uścisku gadziny: „Eh, głupstwo!...“ I skupiwszy brwi, spojrzała mi przenikliwie w oczy. „Wy przecież w końcu wszyscy jednacy — wszyscy bez serca!“

„A zatem byłem w błędzie: Nikt jej nie umarł. Spotkało ją coś gorszego: ten, którego kochała, odwrócił się od niej... Nosi w sercu ranę dotkliwego zawodu, ranę jeszcze nie zgojoną.“

„Twarz jej stała się teraz jakby posągowa. Skupiony wyraz uwydatnił lepiej szlachetny jej owal i pięknie zarysowane łuki brwi, a kształtne usta, zwarte w pohamowanym gniewie, sprawiały wrażenie dumnej wyniosłości. Jakże dobrze rozumiałem uczucia, które w sobie nosiła, choć sam nigdy ich nie doznałem! Nie widziałem w tem żadnej sprzeczności, że raz nazywała mię delikatnym kwiatem, to znowu zarzucała mi brak serca! Ta właśnie sprzeczność doskonale odzwierciedlała odzywającą się w niej jeszcze miłość, zatrutą jadem gorzkiego zawodu. I oto powstała we mnie gorąca chęć wyrwania tego chwastu gorczy z jej serca i przywrócenia jej wiary w miłość nieskalaną, wierną. Mówiłem do niej długo, z rosnącym zapalem, z głębi własnego przekonania. Słuchała — ach, jak ona umie słuchać! jak ona cudnie umie słuchać! Nie przerywała ani słowem, nie zdradziła ani jednym drgnięciem, czy słowom mym przyznaje słusność, ale gdy skończyłem mówić, — ja tego nigdy nie zapomnę! — ujęła głowę moją w obie ręce i wycisnęła mi na ustach pocałunek tak namiętny i głęboki, że mi wszystko zatoczyło się wirem przed oczyma a w uszach usłyszałem jakby szum krwi własnej. — Zanim zdołałem ochłonąć z wrażenia, zerwała się niby przelekniona i nachylając się ku mnie, szepnęła mi tuż nad uchem:

„Dobranoc“.

Silnym ruchem pociągnąłem ją ku sobie i przycisną-

łem do piersi. Nie bronila, prosiła tylko, abym ją już puścił, bo musi odejść.

„Nie będę Cię zatrzymywał, jeżeli Ci spieszno, ale jutro będę Cię oczekiwał o tej samej porze“ —

„Nie przyjdę, niech Pan tego odemnie nie żąda.“

W swem podnieceniu nie spostrzegłem nawet, że mówiłem do niej „ty“ a ona do mnie „pan“. Nie mogłem pojąć, dlaczego nie chce się ze mną więcej spotkać.

„Lepiej tak będzie dla Pana i dla mnie...“ — wyjaśniła mi w końcu na moje długie nalegania. Nie rozumiałem jej obawy.

„Przecież nie czynię Ci nic złego... nie zrobię Ci krzywdy...“ prosiłem, nie mogąc żadną miarą pogodzić się z myślą, że już jej więcej nie zobaczę.

„To będzie lepiej dla Pana i dla mnie...“ — powtarzała wciąż to samo, całując mię przytem po twarzy, po oczach, po szyi. Wówczas dopiero ją pojąłem! Nie chciała miłości! Albo zbyt jeszcze była zajęta myślami o tamtym, albo lękała się nowego zawodu... Pragnęła zachować wierność niewiernemu, pozostać nadal w swojej drętwej ciszy i błądzić po labiryncie swoich wspomnień.

„Alboż dobrze Ci w Twem opuszczeniu? — pytałem — Czy sądzisz, że ciche rozpamiętywanie tego, co minęło, rychlej da Ci ukojenie, niż gdybyś ode mnie przyjęła, co Ci ofiarowuję?“ —

„Co mi Pan ofiarowuje?“ — odparła zdziwiona.

„Moje serce!“ —

„Serce? — zaśmiała się. — Tak skoro! Przy pierwszym spotkaniu! Alboż Pan mnie zna! Wie Pan, kto ja jestem?“

Nie zbiła mnie z tropu. „Jakiegokolwiek jest Twoje imię i kimkolwiek jesteś, w tym krótkim czasie umiłowalem Cię serdecznie. Więc nie możesz teraz tak odejść odemnie na zawsze... Nie możesz mnie zostawić w żalu.“

„A może nie jestem warta, aby Pan mnie kochał?“ —

„Nie mów tak — mówiłem — tuląc ją do siebie. Nie doceniasz sama siebie.“

„Pan jutro będzie się z tego śmiał, co dzisiaj mówisz.“

„Więc przyjdź i przekonaj się, czy śmiać się będę!“ — nalegałem uporczywie.

„A więc dobrze! Do widzenia!“ — rzekła w końcu i szybko zwróciła się do odejścia. Pobiegłem za nią i prosiłem, aby pozwoliła się odprowadzić. Odmówiła mi jednak stanowczo.“

Romek umilkł i otarł z czoła krople potu.

„Powieść Twa skończona?“ — rzekłem. Więcej pewnie jej nie widziałeś?“

Popatrzył na mnie zdziwiony.

„Dlaczego tak sądzisz? Przecież przyrzekła mi, że przyjdzie.“

„I dotrzymała?“.

„Oczywista! I dotrzymuje mi dotychczas.“

Nastała chwila ciszy.

Romek zapalił drugiego sultana i zaciągnął się głęboko dymem. Potem spojrzał na mnie, jak gdyby pragnął wyczytać mi z miny, co ja o tem wszystkim sądzę. Ja jednak chciałem go wprzód wysłuchać do końca, więc na jego powtórne pytające spojrzenie zauważyłem tylko:

„Słucham Cię dalej. Początek dość niezwykły.“

W każdym człowieku jest pewna żądza oryginalności i pragnienie przeżywania przygód niecodziennych, wyjątkowych; ten, kto je ma za sobą, wspomina je chętnie, bo opowiadając, przeżywa je w duchu ponownie.

Romek znajdował się jeszcze w samym wirze przeżyć, przeto tak ciężko było mu z nich się spowiadać. Ale moja uwaga dodała mu bodźca. Poglądził dłonią czuprynę i ciągnął dalej:

„Od wspomnianego wieczora upłynęły dwa tygodnie. W ciągu tego czasu widzieliśmy się może z dziesięć razy. Jednego wieczora spadł ulewny deszcz. Wówczas nie przyszła. Zresztą jest bardzo punktualna. Przychodzi codziennie na to samo miejsce, chociaż się nie umawiamy. Przez dwa dni chorowałem na gardło i nie wychodziłem z domu. Trzeciego dnia mimo to czekała na mnie. Wiedziała, że byłem chory, bom nie przyszedł. Raz ją zapytałem, czy mógłbym ją odwiedzić w domu. Swoim zwyczajem zaprzeczyła tylko ruchem głowy. O swoich stosunkach domowych nigdy nie wspomina. Jest wogóle bardzo małomówna. Prócz skąpych kilku wiadomości o zawodzie miłom-

sny, o którym w pierwszej rozmowie napomknęła, zgola nic więcej o niej nie wiem.“

„Jakto? Nie wymieniła nawet swego nazwiska?“

„Nie. Powiedziała mi tylko, że nazywa się Julka.“

„O czym rozmawiasz z nią co wieczór?“

„Mówimy ze sobą bardzo mało. Czas schodzi nam na pocałunkach i pieszczotach.“

„Czy oddała Ci się?“

„Co?!“ — spojrział na mnie z taką błyskawicą gniewu w oczach, że nie wiedziałem, czy śmiać się, czy też go przeproszać.

„Nie ma się czemu dziwić — rzekłem poważnie. — Naturalia non sunt turpia.“

„Sądziłem jednak, odparł urażony, że masz o mnie lepsze wyobrażenie.“

„To przecież tylko rzecz temperamentu — starałem się złagodzić wyrządzoną przykrość — a tego wam obojgu nie brak.“

„A jednak nie uczyniłbym tego. Zdaje mi się, że z naszego stosunku znikłby wówczas cały urok; miałbym żal do siebie samego i czyniłbym sobie wyrzuty, że ją krzywdzę.“

„Miłość uświęca takie krzywdy — broniłem swego stanowiska. Nie można zresztą wiedzieć, czy Twój poprzednik...“

Romek skoczył na równe nogi.

„Nie bierz sobie zanadto moich słów do serca — rzekłem uśmiechając. — Zupełnie tej osoby nie znam i nie mam powodu jej ubliżać. Sądzę jednak, że gdyby poprzednik Twój był przestrzegał tych samych co Ty zasad, żal jej po nim nie trwałby tak długo... Za prawdziwością mego mniemania przemawia zresztą fakt, że osobę swą osłania tajemniczością i wzbrania Ci progę swego domu. Widocznie rodzice po smutnym doświadczeniu z tamtym zakazali jej surowo nawiązywania wszelkich nowych tego rodzaju znajomości.“

Słowa moje wywarły na Romku silne wrażenie. Siadł, skrzyżował ręce, skupił brwi i spoglądając na mnie uporczywie, zamyślił się głęboko. Oczy jego, spoczywając na mojej twarzy, nie widziały mnie; gubiły się w myślach i dociekaniach. Poznałem, że wątpliwości i podejrzenia nurto-

wały go, zanim jeszcze wszczął rozmowę ze mną. Lecz ja je podsycałem, pogłębiłem.

Przez chwilę było mi go żal. Ostatecznie jednak pomyślałem: lepiej, by zawczasu przejrzał; lepiej, by nie przywiązywał się tak na oślep do osoby, której nie zna. Łatwiej będzie mu w razie potrzeby wycofać się... Postanowiłem tedy, pozostawić go z tem ziarnem nieufności w sercu i czekać, jakie ono wyda plony.

II.

W tydzień później, siedząc w kawiarni przy szachach, ujrzałem nagle Romka, który niespostrzeżenie usiadł przy moim stoliku.

„Jak się masz, Romku! — zawołałem uradowany.“

„Servus — odparł zmęczonym głosem. — Przyjdź do mnie, skoro skończysz. Siedzę sam przy oknie.“ I odalił się.

Zakończyłem partyjkę na łeb na szyję i zająłem miejsce obok mego przyjaciela, którego nieszczęśliwa mina nie zapowiadała nic dobrego.

Kazał podać dwie większe griotki.

„Truje robaka“ — pomyślałem. Nigdy bowiem przedtem nie zauważyłem, by w porze podwieczorkowej pił griotki.

Wychyliwszy kieliszek, rozglądnał się dokoła. Chciał upewnić się, czy nas nikt nie słyszy. Potem nachylając się ku mnie, rzekł przytłumionym głosem:

„Złe ze mną.“

Spojrzałem nań bacznie. Istotnie bardzo był zmieniony. Zmizerniał, przybladł, oczy miał zapadnięte, niespokojne i dziwnie płonące. Co chwila spoglądał w okno, jak gdyby kogoś szukał.

„Opuściła cię?“ — spytałem.

„Nie. To zupełnie coś innego“ — odparł, patrząc wciąż w okno, do którego zwrócony był profilem.

„Opowiem Ci wszystko. Ale wprzód bądź tak do bry i zamień ze mną miejsce.“

Spełniłem jego życzenie. Siedział teraz nawprost okna, i natężonym wzrokiem wyglądał na ulicę, po której snuły się tłumy publiczności.

„Gdzie Twój kapelusz i laska?” — zapytał nagle jakby nieprzytomny.

„Tam, gdzieś wiszą — odpowiedziałem zdziwiony. — O cóż Ci chodzi?”

„Weź je do ręki — szepnął, spojrzawszy na mnie znacząco. — Będę Cię o coś prosił.”

Widząc zdenerwowanie mego przyjaciela, wykonałem w mig jego zlecenie. Po chwili siedziałem przy nim, oparty na lasce, gotów na każde hasło skoczyć na ulicę.

„Ona tędy zaraz przejdzie — rzekł, spojrzawszy na zegarek. — Szczupła brunetka średniego wzrostu. Nosi granatowy zakiecik i granatowy szeroki kapelusz z białą różą. W uszach kolczyki: duże złote kółka. Gdy ci ją wskażę, wyjdź natychmiast. Tylko rażno, bo ona zawsze szybko chodzi. Idź za nią i uważaj, dokąd wejdzie, do którego domu i którego mieszkania.”

„Zgoda. Jak widzę błędzisz dotychczas w ciemnościach” — zauważyłem, pragnąc się czegoś dowiedzieć.

„W najśnieźniejszych jasnościach i najgłębszym mroku. Miłość jej jest z każdym dniem gorętsza. W pie-szczotach jest niewyczerpana i nienasycona. Iście słoneczna szczodrość i rozrzutność.”

„A mimo to jesteś o nią niespokojny?”

„Bo jest w niej coś zagadkowego. Na żadne pytanie nigdy nie odpowie, tylko pocałunkami zamyka mi usta, jak gdyby mię chciała ogniem oślepić, jak gdyby chciała wypalić we mnie wszelką myśl, zabić nieufność, uspić wszelką czujność. Gdyby nie nasza ostatnia rozmowa, byłbym dziś może najszczęśliwszym na świecie człowiekiem. Zaznałeś już rozkosz pocałunków z ust umiłowanej dziewczyny i wiesz, jaka w nich jest potęga upojenia. A jednak poszedłbym z Tobą w zakład, że nie zaznałeś tysięcznej części tego szczęścia, jakim ona mnie obdarza. Ale od czasu mej rozmowy z Tobą nie przestaje mnie gnębić ukryta nieufność. Jak długo jesteśmy razem, sama rozkosz bliskości usuwa przykre myśli, poi i odurza. Ledwie mi jednak zniknie z oczu, budzi się uśpiony polip,

wysuwa tysiące ramion, chwyta i podpatruje każdy giest i każde słowo... A nic tak nie dręczy mnie, jak jej milczenie. „Czy mię naprawdę kochasz?” — pytam; ona milczy. „Wkrótce wyjadę z matką na kilka tygodni; będziesz tęskniła za mną?” — ona milczy. „Można do Ciebie pisać, jaki jest Twój adres?” — Nie odpowie ani słówka. Tylko twarz tuli do twarzy i całuje usta. „Czemu nie odpowiadasz na moje pytania?” — Na to ona: „A poco się tak dużo pytasz?”

„Do stokroć! Całkiem rozsądna dziewczyna! Czego Ty od niej chcesz właściwie?” — rzekłem, usiłując rozpoznać go w jego przygnębieniu.

„Sam we mnie tę podejrzliwość wszczepiłeś, a teraz się dziwisz” — odparł z nietajonym wyrzutem.

„Przepraszam — rzekłem w poczuciu winy — jeśli tak się stało. Nie było moim zamiarem zakłócać Ci spokoju. Ale jeśli podejrzenia nasze okażą się uzasadnione...”

„O jakich mówisz podejrzeniach?” — zapytał, patrząc na mnie z wyrazem prawdziwego lęku.

W tej chwili zasłonił szybko twarz gazetą i trącając mię w łokieć, prawie krzyknął:

„Idzie! Śpiesz za nią! Ja tu czekam.”

W okamgnieniu byłem na ulicy.

Jak na złość, wpadłem w objęcia kolegi zdążającego do kawiarni. Z trudem uwolniłem się od niego i podążyłem na przeciwległy chodnik, skąd łatwiej mogłem ją widzieć.

Istotnie ujrzałem ją po chwili w oddaleniu jakich trzydziestu kroków. Szła tak powoli, że bez żadnego pośpiechu wnet się z nią zrównałem.

Widocznie, pomyślałem sobie, tylko od Romka szybkim odchodziła krokiem, aby nie widział kierunku jej drogi.

Chcąc się jej przypatrzeć, wyprzedziłem ją nieco i stanąłem.

Opis zgadzał się z jej postacią. Zrobiła na mnie wrażenie bardzo miłe. Nie była, co prawda, piękną, lecz miała w sobie coś ujmującego.

Mężczyźni, którzy ją spotykali, obrzucali ją wszyscy spojrzzeniami, jeden nawet wyraźnie uśmiechnął się do niej, nie tykając kapelusza. Nie zauważyłem, czy ten uśmiech

odwzajemniła, ale widziałem, że wszystkim patrzy prosto w oczy.

Na rogu odwróciła się i zaczęła wracać tą samą ulicą.

Poszedłem jej naprzeciw. Oczy nasze spotkały się. Nie spuściła powiek przed moim uporczywym wzrokiem. Spojrzenie jej było jakby zadumane, wyczułem w niem jednak bezsprzecznie coś wyzywającego.

Powstał we mnie śmiały zamiar — i postanowiłem wykonać go natychmiast.

Samo zbadanie jej mieszkania wydało mi się zbyt marnym zabiegiem. Chciałem sfinksowi temu zajrzeć w samo serce:

Znow ją wyprzedziłem, poczem, odwróciwszy się stanąłem, fiksując ją w bezczelny sposób. Dotrzymała mi wzroku także i tym razem, a dokoła ust jej zauważyłem jakby ślad uśmiechu. Poklepałem się w duchu po ramieniu i ruszyłem za nią.

Mijając kawiarnię, rzuciłem okiem w stronę Romka. Siedział na mojem miejscu mocno przygarbiony, wyglądając z poza framugi okna na ulicę. Ujrawszy mnie, drgnął i otworzył oczy w szerokie pytanie. Zrobiłem giest nieokreślony na znak, że nic nie wiem.

Doszedłszy do końca ulicy, moja gwiazda przewodnia nieznacznie odwróciła głowę a ujrawszy mnie tuż za sobą, zboczyła w uliczkę.

Przystąpiłem do niej i bez żadnego wstępu zapytałem:

„Czy mogę iść z Panią?“

Podniosła głowę i obejrawszy mnie dokładnie, odparła lakonicznie:

„Dokąd?“

Dreszcz jakiś niewytłómaczony przebiegł mi po ciele. Straciwszy cośkolwiek z równowagi, rzekłem:

„Nie wiem... To przecież zależy od Pani..“

„Ja wprawdzie mieszkam sama — odparła z wahaniem — ale (tu znowu zaczęła mi się przyglądać) nie wiem, czy to dla Pana nie będzie za daleko.“

Zadanie moje było właściwie z tą chwilą skończone. Beatrice mego przyjaciela była prostytutką. Mogłem już wrócić do Romka z niezawodnym sprawozdaniem. A jednak czułem, że jeszcze nie wszystko załatwione.

„To nic — rzekłem do towarzyski po krótkim namyśle — odwiedzę Panią z przyjemnością.“

Grzeczny ton mego przemówienia wywarł niepożądane widocznie wrażenie. Obrzuciła mnie bowiem nieufnem spojrzeniem i zauważyła jakby do siebie:

„Chce się Pan u mnie tanim kosztem zabawić, nieprawdaż?“

Krew uderzyła mi do głowy. Uczułem wstręt do niej i nienawiść.

— A może mi Romek wskazał inną osobę? — pomyślałem.

Niestety! dwa duże złote kółka, które miała w uszach, rozprószyły ostatnią moją wątpliwość. Pohamowałem gniew i odpowiedziałem ze słodkim uśmiechem:

„Zapłacę, ile będziesz chciała. Idź naprzód.“

„Dobrze“ — rzekła zadowolona i podażyła przyspieszonym krokiem.

Szedłem za nią przez wąskie uliczki w prawdziwej rozterce, nie wiedząc jeszcze jasno, w jakim celu.

Gdyby mi się w tej chwili Romek był nawinał, byłbym mu najchętniej wsypał dziesięć kijów. Taki idyota! Taki bałwan! Tak się dać kilku pocałunkami otumanić jak pszczoła dymem! Tak nieodróżnić uczucia od rutyny! I sercem, sercem płacić, gdzie można pieniądzem. I nawet do tej pory jej nie posiadał! Lękał się splamić swój ideał i stracić wyśnione bóstwo z piedestału! Nie chciał sobie popsuć czarodziejskiej bajki!

Zaśmiałem się głośno na środku ulicy.

Gdyby on był świadkiem tej mojej jednej z nią rozmowy! Splunąłby w jej stronę i poszedł dalej jak człowiek, którego spotkała drobna komiczna przygoda? Rozprawiałby się z nią ostro, zelżył ją i uciekł, w gniewie i wstydzie, aby nazajutrz wyśmiać własne uniesienie?... O nie! Ja go lepiej znałem. Całą wrażliwą, subtelną swą duszą, całym żarem swych młodych, niezaspokojonych zmysłów, które wyrafinowaną sztuką potrafiła podrażnić do najwyższych granic, przylgnął do tej ulicznicy. Zrozumiała odrazu, w które trącić struny: zawiedziona kochanka białego lotosu, duszą tonąca w marzeń utraconym raju, Echo za swym nieczułym tęskniącym Narcyzem, myślami za-

głębia w książce, która może opiewa los równie tragiczny...

Pasya mię porywała. Wróć i wierną mu opowiem prawdę! Niech wie, komu sprzedał duszę. Niech cierpi za swój niedorozwój, za romantyczne swoje zaślepienie, za tę życiową ślamazarność! Przyda mu się taka lekcja. Otrzeźwi go jak zimna kąpiel...

— Czy to naprawdę będzie dobrze? — ozwała się we mnie nagle litość. — Czy będzie to naprawdę przyjacielska przysługa? A jeśli strącony z wyżyny swych szczytnych rojeń w samo gnojowisko życia, które dotychczas znał z wieści zaledwie, popełni jaki czyn szalony? Czy ten bolesny zawód, jakiby spotkał jego najpierwsze, najszlachetniejsze porwy uczucia, czy ten cios nieubłaganej rzeczywistości skierowany w najczulsze i najtkliwsze miejsce, nie musiałby wywołać głębokiego przewrotu w jego życiu psychicznym? nie musiałby napełnić go jadem i goryczą, pogardą i nienawiścią do życia i ludzi i wypaczyć jego nieskazitelną, anielski charakter? Czyż we mnie samym po pierwszym zawodzie miłosnym, chociaż nie był tak jaskrawym, nie runął w gruzy cały strzelisty tum ideologii? nie wlały się poprzez pogruchotane czerepy wspaniałych witraży szare strumienie codziennego światła, beznadziejnie szare?... Czyż więc nie lepiej zachować mu jego illuzję? nie rozbijać brutalną ręką tej bańki z kryształu?

Przekonałem się w tej chwili, jak drogim był mi idealizm Romka. Mnie, com podeptał w sobie wszystkie wiary i wchodził w życie jak w gniazdo szerszeni lub w jeden z kręgów dantejskiego piekła, w którym kłębią się nieokiełzane płomienie żądz i namiętności, syconych szczodrą dłonią Macierzy-Przyrody!

I nagle coś we mnie odtajało. Ta dziewczyna, co mię gdzieś wiodła w coraz gęstszy mrok zaułków, by mi za parę koron sprzedać swoje młode ciało, przestała mi być demonem zepsucia, uwodzającym duszę dziecka. Wydała mi się dziwnie bliską i pokrewną... I ona mogła mieć w sobie swe zatopione światy ideału i w pohańbieniu, w którym żyła, jeszcze tę jedną jedyną tęsknotę: by ją ktoś naprawdę kochał, by ktoś w niej widział i cenił człowieka, by ktoś ją raz wziął w ramiona, nie jak żywy

towar, dla zaspokojenia żądz, lecz tak jak się pieści i tuli wierną, jedyną kochankę... Romek dał jej taką miłość... Czemu miała ją odrzucać? Czemu nie miała zamilczeć przed nim wszystkiego, co mogło miłość jego zatruć lub zgasić? Zostawiła mu jego illuzję, bo mu z nią jest dobrze... Ja mu także ją zostawię...

...Niech on się nie dowie nigdy, że uwielbiał nierządnicę. Niech wspomnienie jego pierwszej miłości zostanie mu na dzień duszy jak gwiazda promienna, co mu nagle zabłysła na wiosennym niebie i — nagle zgasła, jakby spadła w otchłań...

Ale Julka musi zniknąć!

Rozłączyć muszę ich natychmiast, bo z każdym dniem zadzierzga się silniej węzeł, co ich łączy. Trzeba go przeciąć, nim urośnie w siłę, której nic nie zdoła złamać...

Tak rozmyślając, wszedłem z nią na podwórko, ciasne i brudne. Kilkanaście płyt kamiennych, rzuconych na błoto w nieznacznych odstępach, stanowiło chodnik. Ruśzały się te płyty pod nogami i bryzgały błotem. Stało tam obok siebie kilka domków, obrzuconych niebieskim wapnem. W niektórych miejscach wapno poodpadało, odkrywając rdzawe plamy. Domki były tak niskie, że głową sięgałem dachu. Okienka były tuż przy ziemi. Przed jednym z tych mieszkań siedziało kilka starszych kobiet i zażywało „świeżego powietrza“. Gromadka bosych, obzarpanych dzieci uganiała się dokoła, wśród pisku i wrzasku.

Zajęty wymijaniem bajór, straciłem z oczu przewodniczkę. Zauważyłem jednak w jednym miejscu drzwi otwarte i tam skierowałem swoje kroki.

Szedłem pod pręgierzem spojrzeń wszystkich, którzy mnie widzieli. Dzieci nawet wykrzykiwały złośliwe przewiski, obrzucały mnie grudkami mokrej ziemi i z tyłu czepiały mię za surdut.

Nareszcie dostałem się do sionki a stamtąd przez rozchylone drzwi do małej izdebki.

Julka zamknęła za mną szybko drzwi na klucz.

Powietrze w izbie było ciężkie, duszne, stęchłe. Ściany pobielane wapnem, obwieszane gęsto obrazkami, wykrojonymi z pism illustrowanych i słomianymi wachlarzami,

w których tkwiły fotografie i kolorowe widokówki. Urządzenie składało się z prostego stołu, dwóch wyplatanych krzeseł, krótkiej ławki, łóżka wysoko zaścienionego i nakrytego postrzępioną kapą, dużego lustra, kosza i miednicy, stojącej na drewnianym stołku. Mała naftowa lampa płonęła na stole, rzucając skąpe światło przez okopcone szkielko. Okno zasłonięte było jakimś kolorowym obrusem, zawieszonym na dwóch gwoździach.

Uczułem wielkie znużenie i siadłem w milczeniu.

„Okropnie mieszkam! — rzekła Julka, zdejmując kapelusz. — A niech Pan nie sądzi, że płacę tu taniej, niż w pierwszorzędnej kamienicy w mieście.“

„Czemuż nie wynajmiesz w pierwszorzędnej kamienicy w mieście?“ — spytałem bezmyślnie, nie mogąc zapanować nad wielkim zmęczeniem. „Tam przecież nie mogłabym przyjmować gości“, — wyjaśniła i usiadła przy mnie.

Miała niskie białe czoło, włosy delikatne, matowo-ciemne, gładko uczesane, skręcone z tyłu w duży węzeł. Cała jej głowa o regularnych, prawie szlacheckich liniach, tak silnie odbijała od przykrego nad wyraz tła domowej nędzy, jak brylant przez przeoczenie rzucony na śmietnik.

„Mieszkanie to wzięłam tylko tymczasowo, na parę tygodni. Wyprowadzę się na pierwszego...“ — mówiła zawstydzona, widząc moje zniechęcenie.

„Czy Ty lwowianka?“ — zapytałem.

„Tak — odparła niechętnie — ale przez dwa lata nie mieszkalam tu.“

„Przez dwa lata...“ — powtórzyłem jak echo, grzebiąc w pamięci za szczegółami, znanymi mi ze zwierzeń Romka.

Poznała, że myślami błędę w jej przeszłości, bo niespodzianie rzuciła mi pytanie:

„Czy Pan mię zna?“

„Być może, że Cię kiedyś gdzieś spotkałem; ale czy to znaczy znać?“ — rzekłem obojętnym głosem, znając skrytą jej naturę.

To uspokoiło ją widocznie. Uśmiechnęła się z zakłopotaną dziwnie zalotnością, zrobiła ręką ruch, jak gdyby ją chciała zbliżyć do mnie, cofnęła ją jednak w pół drogi,

zrażona posagową moją miną. „Pan jest zmęczony? Czy może Panu tu niemiło?“ — zapytała całkiem szczerze.

„O nie. Przeciwnie“ — odparłem, wyjmując papierośnicę z kieszeni.

„Czy można?“

„Owszem.“ — przyniosła mi zapalki.

„Może pozwolisz?“

„Dziękuję. Ja nie palę“ — rzekła miłym, dźwięcznym głosem. Nagle spojrzała na mnie i spytała:

„Ciekawam, ile Pan ma lat?“

„No zgadnij.“

„Dwadzieścia cztery.“

„To za wiele.“

„Więc ile?“

„Tylko ośmnaście.“

„Seryo? — rzekła zdziwiona. — Pan taki poważny...“

Miał Pan już w życiu dużo kobiet?“

„Dotychczas nie miałem jeszcze tego szczęścia“ — kłamałem, spuszczać oczy.

Kożeśmiała się głośno.

„O, nie wierzę Panu! Lubicie zawsze udawać niewinnych.“

„Co Ci na tem zależy?“ zapytałem.

„Nie... Bo Pan taki jest... nieśmiały“ — rzekła, śmiejąc mi się w oczy.

„To nie to — odparłem, ale ja już jestem taki, że nie potrafię zbliżyć się do całkiem obcej mi kobiety... Muszę ją poznać, polubić. Muszę się przekonać, że ona odnosi się do mnie ze sympatją... z zaufaniem...“

„Macie znowu“ — szepnęła, jak gdyby do siebie. A potem dodała głośniejsz:

„To długa historia“.

„To też muszę Cię poprosić o cierpliwość“ — odparłem, wsuwając jej srebrną pięciokoronówkę w rękę. Rzuciła ją na stół, poczem przysunęła do mnie bliżej krzesło i pochylając głowę ku mojej twarzy, rzekła:

„Przecież Pan nie może żądać, żebym się w Panu zaraz zakochała.“ — „Czy to między nami wogóle jest możliwe?“ — zapytałem zadowolony z tego obrotu rozmowy. Wydeła usta i pociągnęła do góry ramiona.

„Nie obiecuję nikomu rzeczy niemożliwych...”

„Jest więc już taki, którego Ty kochasz?” — badałem, śledząc wciąż wyraz jej twarzy.

„Po co Panu o tem wiedzieć?” — zawołała zniecierpliwiona po chwili milczenia.

Chwyciłem ją za rękę, ścisnąłem ją mocno i poprosiłem usilnie:

„Musisz mi powiedzieć! Ale całkiem szczerą prawdę. Tak szczerą, jak gdybyś była na spowiedzi!”

Patrzyła na mnie z początku zdziwiona, potem rzekła prawie ze smutkiem, jakby współczując ze mną:

„Pan — by chciał, abym Pana?... Zapóźno...”

„A więc kochasz innego? Tobie się tak tylko zdaje! Wiem bardzo dobrze, kogo masz na myśli!”

„Skąd możesz wiedzieć?” — wtrąciła, poblądwszy na twarzy.

„Widziałem Cię z nim parę razy.” — Tu opisałem jej dokładnie wygląd Romka.

„Tak...” — uśmiechnęła się do niego w myślach...

„To młodziutki ubogi chłopak... Co Ci z tego przyjdzie? Ty przecież jesteś praktyczna dziewczyna... W czym on może Ci dopomóc? Musi dużo lat upłynąć, nim on sam do czegoś dojdzie...”

Skutek był niespodziewany. Zarumieniła się gwałtownie z gniewu, podniosła dumnie głowę i mierząc mię pogardliwym spojrzeniem z góry na dół, rzekła szyderczo:

„Tak Pan sądzi? — Pan chciałby miłość moją... k u p i ć?! — Nie, mój Panie! Ja nie sprzedaję jej takim paniczom!”

Chwyciła ze stołu monetę, którą jej byłem dał, włożyła mi ją do kieszonki u kamizelki i skłoniła mi się nisko na znak, że mogę się wynosić.

Zacząłem rozumieć, jak ciężkiego podjąłem się zadania. Ale nie dałem jeszcze za przegraną.

„Tak łatwo się unosisz...” rzekłem urażony. „Przecież nie chciałem Cię dotknąć... Lecz przyznaj sama, czy to jest w porządku: jednego kochać, a innym się oddawać?”

„Co mi Pan tu przyszedł wygłaszać kazania!” —

rzekła wykrzywiając usta grymasem niechęci. — „Sama dobrze wiem, co czynię.”

Stłumiła westchnienie i zagryzła wargi.

Wstałem, poszedłem ku niej i patrząc jej w oczy, zapytałem, wymawiając każde słowo z dobitnym naciskiem:

„A czy Ty także i z tego zdajesz sobie sprawę, że w miłość jego wkradasz się przez kłamstwo?”

Rzuciła się jak ukąszona przez żmiję.

„Czego Pan ode mnie chce? — Czego mię Pan męczy?” — krzyknęła głosem zdławionym od powstrzymanego płaczu. Oczy jej zapłonęły złością i nienawiścią.

„Nie pójdę stąd — utrzymywałem niewzruszony — póki nie odpowiesz mi na moje pytanie.”

„Co mam Panu odpowiedzieć?” — miotła się prawie nieprzytomna.

„Przez kłamstwo go pozyskałam?! Pan to wie na pewno? — Niech będzie przez kłamstwo! Co komu do tego?! Czy to taka wielka zbrodnia? A gdyby trzeba było większej zbrodni — myśli Pan, że ja się cofnę?!”

Kruszyła się we mnie siła moich postanowień. Była chwila, gdy na nią spojrzełem z podziwem. I już nie wierząc w skutek, rzuciłem jeszcze swój ostatni atut:

„Rozważ, że to jest całkiem bezcelowe... Taki stosunek długo przecie trwać nie może...”

„Ah, więc Panu o to chodzi!... Pan nas chce asekurować!”

Zaśmiała się boleśnie, gorzko.

„A może ja jutro umrę? A może pojutrze? A jeżeli za dziesięć lat lub choćby za sto — czyż to za długo, gdy się jest szczęśliwym?” Spojrzała na mnie z głęboką pogardą.

Skłoniłem się jej i wyszedłem.

Za chwilę wybiegła za mną na podwórze. Położyła mi obie ręce na ramiona, przytknęła prawie usta swe do moich i patrząc mi błagalnie w oczy, pytała:

„Czy Pana przysłał tu Romek? Pan mu jutro powie wszystko?”

Zapewniłem ją, że on się ode mnie o niczem nie dowie.

Z okrzykiem wdzięczności przycisnęła mię do piersi i ucałowała serdecznie. Potem szepnęła mi do ucha:

„Może Pan zostać u mnie aż do rana... Jabym od Pana przecież nic nie wzięła...“

Podziękowałem jej za tę szlachetność, tłumacząc się, że nie mam czasu.

Przeżyli ze sobą jeszcze długie rozkoszne tygodnie.

Potrafiłem rozprószyć wszystkie wątpliwości Romka. Więc z każdym dniem więcej promieniał ze szczęścia. I nie dowiedział się do końca, że jego ubóstwiana Juleczka była prostytutką...

Pewnego dnia otrzymał od niej pożegnalny list. Donosiła mu, że musi ze Lwowa wyjechać na zawsze, że już się może nigdy więcej nie zobaczą, chyba gdzieś kiedyś spotkają się przypadkiem w świecie.

Lecz przypadek mu nie sprzyjał. Nie zobaczył jej już nigdy.

Ale dotychczas zachował dla niej wdzięczną pamięć i wspomina ją jak swoje pierwsze wielkie szczęście... Gdy mówi o niej, twarz mu się rozjaśnia, a oczy toną kędyś w dali, jak gdyby szukały cudnych oczu Julki.

WIZYTA.

„Jak się masz, Staszku!“ — zawołała, wchodząc jak do swego domu, wysoka, elegancko ubrana blondyna.

Rawski, który poganiany kolorowym batożkiem przez swą sześćioletnią Halusię ciągnął właśnie po pokoju naładowany kamykami wózek, zrzucił ze siebie szybko uprząż z dzwoneczkami i zwrócił się ku przybyłej. W tej samej jednak chwili cofnął się zdumiony.

„To niemożliwe, abyś mnie nie poznał!“ — rzekła, uśmiechając się doń dużemi, czarnemi oczyma.

„I-re-na? — wybełkotał bezdźwięcznie.

„A więc przecież! Bo też to kawał czasu. Ośm lat, nieprawdaż? Pozwolisz, że siądę.“

Siadła i rozpięła żakiet. Była zgrzana.

Rawski stał wciąż osłupiały.

Halusia spłoszona nagle wejściem, skryła się za plecyma ojca, rzucając na obcą ukradkiem nieufne spojrzenia.

Pani Irena uśmiechnęła się do niej wabnie, potem rzekła: „To twoja córeczka? Przedstaw mi ją.“

Rawski ujął dziecinę za rączkę; ale Halusia zachmurzyła się i została na miejscu.

„Przywożę ci całuski od twojej mamusi z Krynicy. Mamusia chwaliła cię, żeś grzeczna. Czemu nie chcesz przywitać się z cicią Ireną?“

„Pani przyjeżdża z Krynicy? Ach, tak. Pani tam poznała moją żonę?“

„Bajeczna kobieta. Dobrześ wybrał“ — rzuciła z wymuszoną szczerością.

„Pójdź-że, Haluś do mnie!” — schyliła głowę, wyciągając ręce.

„Cóż to dziś za kaprysy?” — przyganiał Rawski.

„Bo ja się boję” — wyjąkała mała.

„Ciocia jest dobra. Ciocia da cukierki. Czego się boisz?”

„Bo ciocia ma taką długą szpilkę...”

Uśmiechnęli się oboje. Irena zdjęła kapelusz i szpilkę wetknęła do środka. „Istotnie nie była zabezpieczona! Mądre ptaszę!” — Posadziła sobie małą na kolana, całowała ją, pieściła, bawiła powiastkami i piosenką. Halusia chwilami śmiała się wesoło, lecz nagle przybierała smutną minę i patrzyła w oczy mówiącej z nietajonym lękiem.

Rawski siedział naprzeciw zamysłony.

„Ja chcę do taty...” — rzekła mała.

„Idź do swego pokoju” — odparł niecierpliwie.

Wybiegła rada. Na progu obejrzała się i trwożnie spojrzała na Irenę.

„Pewnie cię dziwi, co tu robię. Mieszkamy we Wiedniu. Byłam miesiąc w Krynicy. Przyjechałam tu, by odszukać grób mego brata”.

„Zdzisław poległ?”

„Podczas ostatniej wycieczki z oblężonej twierdzy. Tak, Staszku... Teraz jestem sama jedna na świecie...” Głos jej zadrzał, a oczy zaszyły łzami.

„Mąż —?” — zapytał nieśmiało.

„Mąż wrócił kaleką. Siostra go pielęgnuje. Strasznie dokucza. Nie mogłam już dłużej wytrzymać... Zresztą nie kochałam go nigdy. To było szaleństwo. Pchnąłeś mię w jego objęcia bez powodu...”

Rawski tarł sobie czoło, jakby przypominał.

„Teraz mi chyba możesz wierzyć. Przysięgam ci, że podejrzywałeś mię wówczas niesłusznie!... Cóż miałam uczynić, skoroś mię opuścił? Byłam skompromitowana, on nalegał...”

„Po co te nieodmienne rzeczy dziś wspominasz?”

„Bo nieszczęśliwa jestem. I wciąż o tem myślę. Poznanie twej żony otwarło mi na nowo wszystkie rany

serca... Ty nie wiesz, och, ty nie wiesz, jak bardzo cię kocham!”

Nastało przykre milczenie. W zakłopotaniu zapalił papierosa.

„Wszak będę mogła u ciebie przenocować?”

Spojrzał na nią zdumiony i niepewny.

„Nie obawiaj się plotek... Żona ci ufa... Sama mię tu zaprosiła...” Mówiła to głosem poufnym, przyciszonym, nieco drwiącym, jakby wciągała go do spisku.

Rawski siedział skamieniały.

Nagle skoczyła, ujęła jego głowę w obie dłonie i patrząc mu błagalnie w oczy, szeptała namiętnie:

„Słuchaj Staszek. Ja nie mogę żyć bez dziecka...”

Ciebie tylko jednego kochałam i kocham...”

Rawski przechylił w tył głowę, zamykając oczy. Litował się nad nią. Cierpiał. Walczył ze sobą. Szeptem łagodnym, ale stanowczo i nieodwołalnie wycedził:

„Nie mów o tem, Ireno... To jest wy-klu-czo-ne!”

Odeszła i siadła bez słowa. Wrzała gniewem. Była jak przyczajona, gromonośna burza.

Po chwili wstała. Zapięła zakiet. Ubrała kapelusz. Przy tem szpilką ukłuła się w palec i wycisnęła drobną krwi kropelkę.

„Legnam” — podała mu rękę.

Skłonił się w milczeniu.

Gdy wyszła, westchnął ciężko, siadł zmęczony i zadumał się posepnie.

Za chwilę wbiegła dziewczyna z Halusią na rękach.

„Nieszczęście! Ach, nieszczęście!”

Halusia nie żyła.

Gdy rozdarł na niej szaty, ujrzał na skórze, w okolicy serca, maleńki czerwony znak, jak od ukłucia szpilką...



K O N I E C .

65384

SPIS RZECZY.

	str.
Sielanka	5
Ostatnia rozmowa	12
Oczy	17
Sieci	46
Głupie serce	53
Wizyta	77

WYDAWNICTWA „KUR

Amfiteatrow , Żółty	
Boccaccio , Dekameron	
Brandowski St. , Lud	
— Walka demon	
Casanowa , „Opowiad	
w druku	
Ewers H. H. , Opętani, wyd. II.	12—
Forel , Zagadnienia seksualne 2 tomy wydanie	
nowe 6—10 tysięcy	30—
Graybner , Ze świtem, powieść	10—
Hard , Spowiedź kobiety upadłej, powieść	
w druku	—
Kallas A. , Córki marnotrawne, powieść	12—
— Dziecko, powieść	10—
— Uczciwe kobiety, powieść, wyd. II.	10—
Kellermann , Yester i Li, powieść	20—
Landsberger , Kokota-Lu, romans z elegan-	
ckiego świata, wyd. II.	20—
Leroux , Małżonka słońca, powieść	20—
Maeterlinck , Piękno wewnętrzne. Wyd. II.	12—
May Karol , Przygody w północnej Afryce	12—
— Na morzu Faraona	12—
Michaelis , Radosna szkoła, przekł. A. Kallas	15—
Mikszát , Bez mężczyzn, powieść w druku	—
Nansen , Szczęśliwe małżeństwo, powieść	
w druku	—
Pergaud , Od lisa do sroki	8—
Sacher-Masoch , Demoniczne kobiety, no-	
wele. Wydanie II. w druku	—
— Wenus w futrze, powieść, wyd. II.	14—
Salz , Głupie serce, nowele	—
Sawicka Zofia , Pamiętnik znaleziony w re-	
kwizytorni	10—
— Sielanka aktorki, powieść	10—
— Czwarte krzesło powieść,	10—
— Paniątko, powieść	14—
Schirmacher K. , Sufrażetki, tłum. Melania	
Bersonowa	10—
Schnitzler A. , Pani Berta Garlan, powieść	12—
Slaski , Zmroki, nowele	5—
Zbierzchowski , Małżeństwo Loli	6—

UW filia w B-stoku
 Sygn. 65384